HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

STYCZEŃ 2022/1

magazynhisteria.pl

COFKA
MALARZ DEMONÓW
OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA
OPIEKUN
PIES WE MGLE
ROSYJSKA RULETKA
SZKLANE OCZY

SPIS TREŚCI:

COFKA	Michał Kulig	3
MALARZ DEMONÓW	Igor Kręt	9
OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA	Małgorzata Lewandowska	14
OPIEKUN	Tomasz Nowicki	25
PIES WE MGLE	Piotr Ander	37
ROSYJSKA RULETKA	Katarzyna Mika	49
SZKLANE OCZY	Alina Kowalska	55

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki
Okładka: Joanna Widomska
Skład: Maciej Zawadzki
Ilustracje: Ilona Bielicka, Krzysztof Kowalik, Małgorzata Siłkowska, Roman Panasiuk, Zvyrke
Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.

COFKA

Michał Kulig

Zdarzyło się to iks lat temu, kiedy do szczęścia wystarczało niewiele i wydawało się, że dwójka w metryce będzie widnieć jeszcze nie wiadomo jak długo. Nikt z nas nie martwił się wówczas uchodźcami, geopolityką, teoriami spiskowymi, globalnym ociepleniem, możliwą erupcją kaldery Yellowstone, covidem-19 i innymi ważkimi tematami, na które co poniektórzy rodacy myślą, że mają wpływ, kiedy je dobrze wyobracają na językach i w mediach społecznościowych. Interesowały nas nowe kapele na Youtube i Spotify, kolejne sezony seriali HBO i Netflixie oraz to jak zaczynamy „piątunio". Może dlatego ta historia schowała się tak głęboko. To trochę jak z nieleczonym zębem, który dopiero niedawno zaczął dawać znaki o swoim istnieniu. Ropa wypłynęła na wierzch pamięci któregoś razu, nad ranem, kiedy obudziłem się mokry od potu. I tak się złożyło, że chcę się nią z wami podzielić To był okres w przerwie pomiędzy wigilią a sylwestrem, która to, tak jak wszystkie inne z ostatnich lat, zbijają się w pamięci w jedną, trudną do oddzielenia masę, podobną do przeterminowanych ciastek czekoladowych. Żadne z tych świąt nie zostało odnotowane w annałach naszego życia. Stało się tak również z towarzyszącymi im rodzinnymi uroczystościami i towarzyskimi imprezami, które te kilka czerwonych kartek w kalendarzu zawsze okrąża pachnący żywicą i grzańcem wieniec, połyskujący pełnym szkłem, perlistym

śmiechem i kolorowymi światełkami wyzierającymi spoza choinkowych łańcuchów i serpentyn. Ja owej niepamięci nie postrzegam jako przejawu spowszednienia czy jakiegoś ogólnego zaniku skłonności do sacrum, czy odczuwania atmosfery świąt. Wprost przeciwnie, choć dla mnie od okresu dorastania przybrała ona formę przetrwalnikowej skamieliny. Mimo to zawsze przykładałem pewną wagę do duchowo-rodzinnej strony Świąt Bożego Narodzenia czy jak kto woli – Szczodrych Godów,. Nie można oczywiście pominąć trywialnych powodów, takich jak zbyt częste i obfite toasty przeciągające się nieraz w owych dniach w nieskończony korowód bachanaliów. Dla mnie owa niemożność wytrącenia z osadów pamięci owych świąt i spotkań, to przede wszystkim oznaka, że wszystko jest w najlepszym porządku. Znajomi się zmieniają, przyjaciele zostają. Raz jest więcej powodów do radości, raz mniej. Bez fajerwerków (żeby nie straszyć czworonogów), ale co z tego, skoro wszyscy zdrowi, wszyscy żyją. Wszyscy? Gorzej kiedy z otchłani pamięci wyłania się coś, co powinno zostać zagłuszone dźwiękiem kolęd, gwarem świątecznych jarmarków i galerii handlowych. Tak się jednak nie stało i tamte Święta zapamiętam niestety do końca życia, jednak nie z powodu szczególnie miłej towarzysko-rodzinnej atmosfery ciepłej jak blask świec, ale czegoś co sprawia że stopy drętwieją mi jak dwie bryły lodu, choć zima wtedy była raczej łagodna. Przyjaciel mieszkał w Krakowie. Kurdwanów, czy inna Krowodrza. Zabijcie, nie pamiętam. Nowe budownictwo. Trafiło mu się jak ślepej kurze ziarno, bo warunki świetne. Mieszkanie było jego brata, a ten wyjechał za granicę na pół roku. Mój przyjaciel mógł mieszkać prawie za friko, dbając jedynie o stan mieszkania, podlewając kwiaty, karmiąc dwa przesympatyczne koty, płacąc czynsz i rachunki oraz sprawdzać skrzynkę na listy. W tamtych dniach wyjechał do rodziny, prosząc mnie o zastępstwo, a oprócz tego zostawił do dyspozycji solidnie zaopatrzoną lodówkę i barek, obiecując po powrocie imprezę sylwestrową prawie wyłącznie w żeńskim towarzystwie. Mając już świąteczne powinności za sobą, skwapliwie się zgodziłem. Nie było go trzy dni. Pierwszego nie miałem za bardzo co ze sobą zrobić, a nie chciało mi się włóczyć po Krakowie, bo od czasów studenckich miałem tego miasta dosyć. Siedziałem więc w mieszkaniu, ni to próbując czytać jakąś opasłą epopeję fantasy, ni to próbować swoich sił na gitarze elektrycznej kolegi, ale po kilku wymownych stuknięciach niosących się po rurach, zaniechałem nieporadnej *jam session*. Włączyłem więc telewizor o gabarytach stołu, nakarmiłem koty, zrobiłem sobie drinka i wyszedłem na balkon zapalić papierosa i popatrzeć na okolicę. Pierwsze piętro. Balkon kumpla równolegle przylegał do balkonu mieszkania obok. Blok łamał się w tym miejscu pod kątem prostym, także można było bez trudu przejść do sąsiadów, jeśli ci nie założyli sobie antywłamaniowej kraty. W mieszkaniu obok paliło się światło. Przebijało się przez cienkie, amarantowe zasłony. Było

przytulne. Lampka albo kinkiet usytuowany w pobliżu balkonu. Na pewno nie padało spod sufitu, bo reszta pomieszczenia pogrążona była w dyskretnym półmroku i szczegóły wnętrza pozostawała niewidoczne. W pewnym momencie na balkon wyszła dziewczyna. Nie dałbym jej więcej niż dwadzieścia pięć lat. Bił od niej ten szczególny rodzaj ciepła i witalności, który sprawiał, że przedstawicielka płci pięknej nie musi być modelką żeby się podobać. Miły wyraz twarzy czynił ją ładną. Miała na sobie podkoszulek zespołu Luxtorpeda. Jej pofalowane i niesforne włosy były w tym pięknym słowiańskim kolorze pomiędzy miodem a mysią sierścią. Nie było śniegu, ale temperatura oscylowała w pobliżu zera. Oparła się o barierkę swojego balkonu, patrząc gdzieś przed siebie. Postanowiłem zagaić rozmowę.

- Cześć, będziemy kilka dni sąsiadami. Nie jest ci zimno? – Nieznajoma obróciła głowę w moją stronę i posłała przyjazny uśmiech.

- No coś Ty. Jest super. Rześko.

Ucieszył mnie jej entuzjazm do pogawędki z nieznajomym. Uśmiech jednak szybko zszedł z jej twarzy.

- Na co dzień mam ukrop. Dlatego wychodzę, kiedy tylko mogę.

- Zawsze można przykręcić kaloryfery - stwierdziłem

- No właśnie, u mnie nie można. Wyjść też za bardzo nie mogę. Hej, Wiktoria jestem. Wiki po prostu - podała mi rękę przez barierkę. Na przegubie miała skórzaną bransoletkę z kością do gry i coś, co można było identyfikować jako breloczek w formie czterolistnej koniczyny. Przyjemny, mocny uścisk. Gawędziliśmy sobie neutralnie o wszystkim i o niczym. Czekała na kogoś lub na coś, ale nie chciałem zasypywać jej pytaniami. Kiedy któryś raz z rzędu spojrzała na smartfona, , wpadła niemalże w popłoch. Zorientowałem się, że jest boso, podczas gdy ja mając założone rozsznurowane sportowe buty, przestawałem z nogi na nogę i dygotałem.

- Dobra, lecę się kąpać. Muszę wcześnie wstać. Jedziemy z samego rańca

- Na sylwestra? - Wiktoria spojrzała na mnie jak na idiotę i się roześmiała.

- Sylwestra jeszcze nie planujemy.

- No i dobrze. Na spontanie najlepiej... - Gadałem już do siebie. Nawet nie zorientowałem się, kiedy weszła z powrotem do mieszkania. Wróciłem do siebie, obejrzałem jakiś psychologiczny melodramat, potem odcinek kryminalnego serialu i obróciłem resztę flaszki.

Na drugi dzień obudziłem się koło południa. Wyszedłem do osiedlowego sklepu po kilka drobiazgów i wróciłem do mieszkania. Próbowałem czytać, ale za bardzo mnie nosiło.

Koło dwudziestej znowu wyszedłem zapalić na balkon. Za zasłonami mieszkania Wiktorii zapaliło się światło i otworzyły się drzwi balkonowe. Znów była boso.

- Przeziębisz się i nigdzie nie pojedziesz - rzuciłem. Popatrzyła na mnie spode łba z kąśliwym uśmiechem i popukała się w czoło, marszcząc brwi.

- Jak tam wyjazd?

- Przecież to jutro dopiero. Nie mówiłam ci? - Podejrzliwie zmrużyła oczy

- Zaczekaj - wszedłem do mieszkania po kolejną napoczętą butelkę whisky brata mojego dobrodzieja. - Napijesz się ku pokrzepieniu serc w ten świąteczny czas? Może się już nie zobaczymy?

Roześmiała się, jakbym opowiedział dowcip roku. Wzięła ode mnie butelkę i pociągnęła drobny łyczek. Chwilę znowu pogadaliśmy. Miałem wrażenie, że opowiada drugi raz to samo, ale z drugiej strony cieszyło ją moje towarzystwo. ja Przynajmniej miałem do kogo usta otworzyć, a nie scrollować bez sensu media społecznościowe. Dziewczyna sprawiała wrażenie kogoś, kto też utknął na parę dni w nie do końca komfortowej sytuacji i próbował jakoś zabić nudę. Pochodziła z jakiejś miejscowości między Opolem a Brzegiem. Nie pamiętam już, co studiowała, ale z pierwszego kierunku zrezygnowała i dopiero od roku była na czymś związanym ze środowiskiem czy rolnictwem. Zaliczyła już cały rok, co mnie zaskoczyło. Nie studiowałem ładnych parę lat, więc nie byłem na bieżąco ze zmianami w tak zwanym szkolnictwie wyższym. Być może miała indywidualny tok nauczania i wszystko udało jej się zamknąć do Świąt, albo dopiero teraz zamknęła za sobą łańcuch poprawek i zaległości. Nie dopytywałem. Pewnie jej znajomi i współlokatorzy wyjechali do domów, a ona z jakiegoś powodu musiała tu jeszcze pokiblować sama.

- Muszę spadać. Woda mi się zaraz z wanny wyleje. Jutro jedziemy...

- No wiem, wiem. Leć, bo nie będą na ciebie czekać, musisz się jeszcze spakować – zabrałem jej butelkę i zacząłem się droczyć.

- No to jak wiesz, to po co pytasz? Nareszcie jestem wolna jak dzika świnka – zaśmiała się i szturchneła mnie w ramię. Już miałem zaprosić ją do siebie, ale znów ulotniła się szybciej niż zdążyłem się odezwać. Wróciłem do środka, żeby zrobić sobie kolejnego drinka. Wymieniłem kotom żwirek w kuwecie i prześledziłem wiadomości oraz debaty polityczne, które z każdym łykiem wydawały mi się coraz bardziej interesujące. Obudziłem się po czternastej. Wyżarłem z lodówki camembert, winogrona i podgrzałem sobie mrożoną pizzę. Nie siląc się na produktywne spędzanie czasu, ale mając dość telewizji, zabrałem się za jakąś grubą cegłę, którą znalazłem na półce. Wampiry, steampunkowa alternatywna historia dziewiętnastego wieku i perypetie miłosne w tle. Książka spodobała mi się do tego stopnia, że

czytałem do wieczora. Żeby sobie bardziej uprzyjemnić lekturę, postanowiłem otworzyć kolejną flaszę trunku, ale tym razem nie chcąc nadużywać gościnności przyjaciela, udałem się do osiedlowego sklepu. Kiedy wracałem, idąc przez martwy o tej porze roku plac zabaw, spojrzałem w stronę okien bloku. U niej było już ciemno. Spojrzałem na telefon. Była dopiero dwudziesta z minutami. Pewnie wyszła albo już się położyła, chcąc wcześnie wstać. Jutro czy nie, ma przecież gdzieś jechać. Po powrocie otworzyłem dwusetkę pigwówki, natrafiając w telewizji na jakiś tandetny obraz, gdzie efekty specjalne mieszały się z dylematami moralnymi bohaterów posiadających super moce. Nadszedł czas na papierosa. Kiedy wyszedłem na balkon, zgłupiałem. Tym razem Wiki mnie ubiegła. Miała na sobie koszulkę z Ryszardem Rydlem, potargane dżinsy i znów jej stopy były gołe i blade. Spoglądała gdzieś na światła osiedla. Zaciągała się elektronicznym papierosem, oparta gołymi ramionami o lodowatą poręcz balkonu. Wypuszczała absurdalnie wielkie kłęby, jakby glikolowa para wypełniała ją w całości. Nie czułem żadnego aromatu

- O Wiktorio, moja Wiktorio. Co ja mam z tobą zrobić? Jakieś plany na jutro? Może mnie zaskoczysz?... – Próbowałem ją podpuścić

- Wyjeżdżamy. Jutro przyjeżdża po mnie chłopak i paru jego ziomków. Muszę być gotowa o szóstej rano.

- Aaa... masz chłopaka. Wiesz co? Zróbmy sobie pamiątkowe selfie, bo pewnie się nie zobaczymy. Pokażę kumplowi, że podrywałem mu sąsiadkę. Niech zazdrości. –- Spoko - przyjęła wyzwanie i kilkoma małpimi ruchami wskoczyła na moją stronę. Objęła mnie. Pachniała mrozem i mydłem. Była miła w dotyku, ale pozbawiona temperatury, jak wosk, jak drewno. Wywaliła język i ukośnie pokazała dwa palce. Poszło. Zgrabnie podciągnęła się na barierce i wróciła do siebie.

- Lecę. Jutro będziemy już pod namiotem. Muszę się wykąpać przed jutrem i spakować. Nie zakręciłam wody.

- Często się kąpiesz. Jeszcze zdążysz gdzieś tam w plenerze... – zawołałem, siląc się na sarkazm, ale jej już nie było. Zresztą, nie miało to już znaczenia. *Może i ja się wykąpię,* pomyślałem. W łazience odkręciłem wodę i ustawiłem wielkość jej strumienia i temperatury. Wariatka z tej Wiktorii. W dość wyrafinowany sposób zakomunikowała mi, żebym się odczepił. Cóż było robić? Wróciłem do pokoju, dokończyłem pigwówkę i postanowiłem „utrwalić się" kilkoma piwami. Film o superbohaterach się kończył. Zacząłem zapadać w drzemkę oparty o krawędź wielkiego, dwuosobowego łóżka. Woda! Zerwałem się na równe nogi i pognałem do łazienki. Kaskady wody przewalały się już przez burtę wanny.

Moje skarpety błyskawicznie zamokły, a chłodna ciecz obrzydliwie wyziębiałą mi i tak już zmarznięte stopy.

– Kurwa mać! – Zakręciłem wodę i porwałem z półek ręczniki, starając się za wszelką cenę nie dopuścić do tego, żeby woda rozlała się na parkiet przedpokoju. Za późno. Ozdobny dywanik wypłynął niczym wielka płaszczka. Koty patrzyły na to wszystko z raczej umiarkowanym zainteresowaniem, po czym ulotniły się, zostawiając mnie samego z całym bajzlem. Pół nocy zajęło mi osuszanie drewnianych klepek podłogi. Na szczęście parkiet był porządnie wycyklinowany i polakierowany, więc nie pozostał żaden widoczny ślad po powodzi. Żeby złagodzić stres przed snem... otworzyłem barek.

Nazajutrz około pierwszej po południu obudził mnie ostry dzwonek do drzwi.

Otworzyłem, potykając się o ręczniki i reklamowe gazetki zaścielające przedpokój, które wykorzystałem do wchłonięcia ostatnich resztek wilgoci.

- Kominiarz życzy wszystkiego najlepszego w Nowym Roku. Proszę, oto upominkowy kalendarz, a tak przy okazji kontrola przewodów kominowych – facet ubrany na czarno wparował z tym swoim miernikowiatraczkiem do łazienki i kuchni. – Wie pan, kontrola powinna być raz do roku, ale u was, z polecenia administracji, cały budynek sprawdzamy częściej. – Po chwili wrócił z kuchni

– Okap to musi pan zdemontować. Rok temu dziewczyna, która mieszkała za ścianą, w czerwcu po zdanej sesji miała jechać z chłopakiem na wycieczkę. Zepsuty junkers, cofka. Spaliny przeszły przez szyb i przez kuchnię wróciły do mieszkania. Dziewczyna brała kąpiel. Zasnęła w wannie. Zamiast na wycieczkę, pojechała na cmentarz.

Nie mogąc uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszałem, po wyjściu kominiarza zajrzałem do galerii zdjęć w telefonie. Na wczorajszym zdjęciu rozczapierzoną ręką obejmowałem pustą przestrzeń. Wypity w nocy alkohol wraz z zawartością żołądka wydostał się z moich ust jednym wielkim gejzerem.

MALARZ DEMONÓW

Igor Kręt

Za oknem świat zawsze był ponury. Zawsze ukryty w gęstej pierzynie dymu z kominów starych kamienic. Czasami miałem wrażenie, że Nikolas Futher ukochał ten widok tak mocno, iż przeniósł go do wnętrza swojego mieszkania. W salonie na zawsze zapanował półmrok, w którym postaci z obrazów, jakie malował i wystawiał w jego wnętrzu, przypominały demony czyhające na dusze nieszczęśników zapuszczających się na nieznane terytorium. W istocie Nikolas był artystą o wąskim zakresie twórczym. Tworzył jedynie groteskowe portrety na zamówienia specjalnych klientów i jednokolorowe pejzaże skąpane w gnijącej zieleni wylewającej się z płótna lub magmowej czerwieni. Za pracownię zwykle obierał właśnie salon, gdzie jedynie podczas pracy ogromne okna spełniały swą rolę, rozświetlając wnętrze dziennym światłem. W innych przypadkach pomieszczenie przesiąkało mrokiem.

***

Wtorek zwykle zaczynał się od wizyty. W progu mieszkania stawali coraz to dziwniejsi decydenci, poszukujący kolejnych odłamów wariactwa do swojej kolekcji. Portrety Nikolasa, który potrafił zawrzeć wizerunek dowolnej osoby w iście szatańskiej, obskurnej cielesności demona, pośród rozszerzającego się grona ich odbiorców stanowiły obiekty kultu.

Ludzie tworzyli dla nich szklane gabloty w swoich domach, a następnie pisali listy do twórcy, przekonując o swoim niesłabnącym zachwycie nad jego pracami. Jedna księgowa posunęła się nawet do stworzenia nowej religii, której centrum był portret przedstawiający jej nagą osobę w ucieleśnieniu demonicznej imaginacji Nikolasa Futhera. Zamiast piersi krwawe kwiaty lotosu, z których sączył się jad kobry królewskiej; w miejscu pępka szczęki monstrum o czterech rzędach ostrych zębisk; zamiast rąk wlokące się po płótnie jak elastyczne pnącza bluszczu bicze zakończone trójpalczastą dłonią.

Nawet twarz wieńcząca wizerunek kobiety wydawała się zdeformowana, jednak nie na tyle, by nie rozpoznać, do kogo należy. Nikolas czytał tylko wybrane korespondencje. Większość lądowała w kominku lub obok mnie. Wtedy uśmiechał się w moją stronę, zniżając głowę jak najbardziej i mówił „Gdybyś tylko umiał czytać, wiedziałbyś, co czuję, musząc przyjmować te wypociny i udawać, że struchlałe, blade lica moich beneficjentów są czymś więcej w mej hierarchii niż tylko elementem zarobku na życie i strawą dla duszy pełnej groteski". Och! On uwielbiał tak mówić, wylewać swe żale, uronić przy tym łzę goryczy. Zawsze się łapałem na tym, że w końcu uznał moją bytność na równi ze swoją. W końcu stałem się jego najlepszym słuchaczem. Gdyby tylko nie dodawał po chwili „I po co ja strzępię jęzor dla starego sierściucha? Tobie tylko w głowie resztki z obiadu".

Nienawidziłem tych resztek. Ociekające tłuszczem ścięgna kurczaka, osmolona skóra, wszystko zblendowane z dodatkiem... mleka. Zaklinałem swój węch, gdy przychodziła pora obiadu. Ale kiedy nadszedł tamten wtorek, nic nie poszło tak jak zwykle.

Obudziłem się o ósmej. Nikolas pracował pieczołowicie nad kolejną demoniczną interpretacją jakiegoś klienta. Jedna z zasłon uchylała nieco widoku na świat za oknem. Był taki sam jak zwykle – brudny, zadymiony, przypominający listopadowy krajobraz gotyckiego dziewiętnastowiecznego miasta. Osmolone kominy kamienic piętrzyły się i znikały w gęstym smogu, który docierał powoli w najgłębsze zakamarki uliczek. Wskoczyłem na parapet, jak zwykle.

Gwoli wyjaśnień, jestem kotem, jeśli ktoś ma jakiekolwiek wątpliwości. Zwykłym burym dachowcem, którego matka zginęła pod kołami ciężarówki, kiedy miał raptem dwa

ludzkie miesiące. Z oczywistych względów nie poznałem jej, choć przez pewien czas tułaczki zaśmieconymi ulicami starego miasta demonów w cylindrach wraz z moją siostrą, przysłuchiwałem się opowieściom, dzięki którym w przyszłości wyklarowałem własny obraz mojej rodzicielki. Meghane była ode mnie starsza o dwa ludzkie lata. Pochodziła, tak jak i ja, z miotu rubasznego, czyli zupełnie nieplanowanego. Matka w jej opowieściach była puszczalską, nieokiełznaną suką, przypominającą mobilną mini fabrykę kocich żyć. Nie znała umiaru ani liczby kochanków. O dzieciach lepiej nie wspominać. Meghan przypuszczała, że było ich koło pięćdziesięciu. Ja byłem wyjątkowy. Pochodziłem z ostatniego miotu wraz z bratem Jagholem, który zmarł młodo. Był chorowity od kocięcia. W tułaczkę ruszyliśmy we trójkę, ale na metę dotarłem samotnie. Co do Meghan, nie mam pojęcia, jak skończyła. Pragnęła tego, co matka – być puszczalskim obiektem pożądania zapyziałych kocurów. Wybaczcie, jeśli nie zaakcentowałem wcześniej, iż uważała naszą rodzicielkę za wcielenie najgodniejsze naśladowania. Nikolas znalazł mnie przypadkiem, osiem lat temu, kiedy jego czarna czupryna faktycznie taka była, zaś płaski brzuch oznaczał zbilansowaną dietę, a nie wyraźne oznaki niedożywienia w wyniku oddania się całkowitego swojej artystycznej duszy pragnącej płodzić jego rękami kolejne groteskowe portrety. Byłem mizerny, na skraju śmierci. Dopiero po sześciu miesiącach odzyskałem pełnię sił. Wtedy mój pan był moim przyjacielem, bezinteresownym karmicielem i dawcą schronienia. Z perspektywy czasu przyznaję, że to odległa, zakurzona przeszłość butwiejąca gdzieś w zakamarkach pamięci Nikolasa Futhera.

Poranne obserwacje ulic przynosiły ciekawe obrazy, które zapisywałem w pamięci, by podczas snu korzystać z ich mrocznej, beznadziejnej otoczki. Wtedy spacerowałem nimi, mijając kolejne demony w cylindrach, aż na dobre utonąłem w gęstym, spowijającym wszystko wokół smogu. Wbrew pozorom, uczucie łaknięcia kolejnych porcji czystego, życiodajnego powietrza przynosiło sporo ekscytacji.

Nikolas odłożył pędzle i odszedł od sztalugi. Miał mizerne, zapadnięte oczy, blade policzki i wieńczące ten obraz upadku siwe pasma włosów. Ostatnimi czasy coraz częściej się garbił, jego ruchy przypominały brodzenie w torfowisku. Minąwszy miesiąc temu granicę pięćdziesięciu ludzkich lat, przestał sprawiać wrażenie artysty, któremu poświęcenie się żarłoczności własnej duszy przyniosło coś więcej niż rozstrojone nerwy i bolesną prawdę: zmarnowałeś sobie życie, facet. Dawne, upojone groteską i klientelą, czasy powoli odchodziły w cień, choć co do klienteli – nadal miał zamówień bez liku. Głównie kobiety, ale i zwariowani cylindryści spod ciemnej gwiazdy raczyli swymi banknotami o rozmaitych nominałach finansowe podniebienie Nikolasa.

— Nie dam rady, nie potrafię, straciłem to — zaczął wyliczać, udając się do kuchni. Zeskoczyłem z parapetu i udałem się za nim. Uliczni przechodnie tym razem pozostaną jedynie w sferze planów na kolejny poranek. O połowę mniejsze pomieszczenie, gdzie Nikolas przygotowywał wątpliwego smaku oraz jakości posiłki dla siebie i (o zgrozo!) mnie, było najlepiej oświetlonym miejscem w mieszkaniu. Dwuskrzydłowe, wysokie okna raczyły nasze oczy światłem dnia. Nikolas usiadł przy stole i zaczął sączyć zimną kawę, tak jak zwykle tonąc w myślach. Wtedy zastygał niczym marmurowy posąg i każda interwencja z mojej strony była niczym dla jego uśpionej uwagi. I tym razem postanowiłem utwierdzić się w przekonaniu. Wskoczyłem na blat miękko, ale stare dębowe drewno i tak wydało jękliwy zgrzyt.

— Jeszcze nie pora, Osson — powiedział nagle. Zaniemówiłem. Będąc pogrążonym we własnych myślach, odezwał się ode mnie, przemówił, po czym zepchnął siłą z powrotem na podłogę. Upadłem z głuchym łupnięciem. — Wybacz, myślałem, że wiesz... na cztery łapy... koty... nieważne. — Podparł twarz lewą ręką i wbił wzrok w nieznany punkt naprzeciwko. Nie miałem mu tego za złe. W końcu zdobyłem uwagę Nikolasa Futhera, w najmniej oczekiwanej sytuacji. Po prostu usiadłem przy stole i patrzyłem na niego jak typowy tępy dachowiec czekający na porę obiadu.

Około dziesiątej rozległ się dzwonek. Nikolas stał przy sztaludze, nerwowo kreśląc pędzlem kolejne fragmenty obrazu. Był przy tym wyjątkowo zdekoncentrowany, a kiedy usłyszał dzwonek, wręcz wywrócił sztalugę. W ostatniej chwili zdążył chwycić górny róg płótna.

— Oczywiście, oczywiście, już idę! — Pobiegł do drzwi, wywracając stojące na drodze pufy. Na szczęście siedziałem na ulubionym parapecie, więc jako obserwator miałem z całego widoku niezły ubaw.

— Jak nasze zamówienie? — Nie poznawałem tego głosu. Zapewne nowy klient.

— Jest... prawie gotowe. — Nikolas nigdy nie wahał się, mówiąc o swoich dziełach. Sumienność i dotrzymywanie terminu były wyznacznikami, które przyciągały klientelę chętnie, jak lep nieświadome niczego muchy.

— Nie rozumiem. Umówiliśmy się na dzisiaj. To już drugi termin. To zamówienie było dla mnie i żony bardzo ważne, a pan śmie ponownie przekazać nam, iż obraz wciąż jest niegotowy? — W głosie mężczyzny słychać było narastający gniew. Kiedy wszedł razem z żoną do salonu, widziałem w jego oczach płomyki. Kobieta wtórowała mężowi, choć nie omieszkała przy tym pokazać Nikolasowi swego wydatnego zaplecza cech idealnie kobiecych. Przypomniała mi moją puszczalską matkę.

— Proszę wybaczyć, mam za sobą ciężki tydzień, wiele nieprzespanych nocy...

— Ależ oczywiście! Jak każdy w tym przeklętym mieście. A jednak pański dorobek artystyczny budzi podziw, dlatego niezwłocznie zapragnąłem z żoną nabyć portret pędzla sławnego Nikolasa Futhera. Jednakże on, stawiając nas w roli nachlanych wariatów, po raz wtóry deklaruje niewykonanie zamówienia!

Zobaczyłem je, gdy wyszczerzył zęby bardziej. Dwa kły o wiele dłuższe niż reszta uzębienia. Ogniki w oczach przemieniły się w rubinowe kryształy. W mroku jego cera wyglądała zupełnie ludzko, jednak gdy wraz z żoną stanęli na drodze światłu bijącemu od okien z kuchni, przybrała trupią biel. Oto i dwa wampiry stanęły w mieszkaniu Nikolasa Futhera, który zaszedł im za lodowatą skórę. Syczały i rzęziły. Szczególnie ona, rozkręciła się, wcześniej milcząco spoglądając na swoją przyszłą ofiarę. Cóż, Nikolas był ateistą i miał uczulenie na czosnek. Osikowe kołki widywał zapewne tylko na bazarkach w dzieciństwie.

— Proszę dać mi jeszcze dwa dni, a wywiążę się z umowy. Nigdy nie malowałem tak zaawansowanych aktów. Siedem twarzy, siedem różnych bytów na jednym obrazie. — Zaklinał się coraz bardziej, prawie łkając.

— Cwany z ciebie śmiertelnik — syknęła kobieta, ukazując swe białe jak śnieg kły. — Pieniądze, zawsze wam chodzi tylko o pieniądze. Łatwy zysk, szybka forsa. Szkoda tylko, że trafiłeś na nas.

— Naprawdę się nie zorientowałeś? — wtrącił mężczyzna. — Przecież tytuł obrazu miał brzmieć „Zjazd Wampirów”. Nikolas pociągnął smutno nosem, cały drżąc.

— Tytuł jest tylko suchym opisem. Liczy się dusza, którą zaspokajam. Pieniądze to tylko znieczulenie nędznych potrzeb ludzkiej fizjologii. Oboje zaśmiali się w głos. W tym samym momencie spostrzegli mnie: starego kocura spoczywającego na parapecie. Zignorowali mą obecność. Nie miałem pojęcia czy to powód do radości, czy tylko uśmierzenie mych rodzących się z wolna obaw. W końcu zaatakują.

Nie chciałem na to patrzeć ani słyszeć jego jęków. Po tych ośmiu latach rozumiałem, że tak czy owak stałem się zbędnym balastem na drodze zaspokajania głodu duszy Nikolasa Futhera. Odszedłem z lekkim żalem, prześlizgując się zignorowany ponownie pomiędzy nogami wampirów. Będąc już w połowie drogi na parter, usłyszałem to. Gorzkie rzężenie pokonanego artysty.

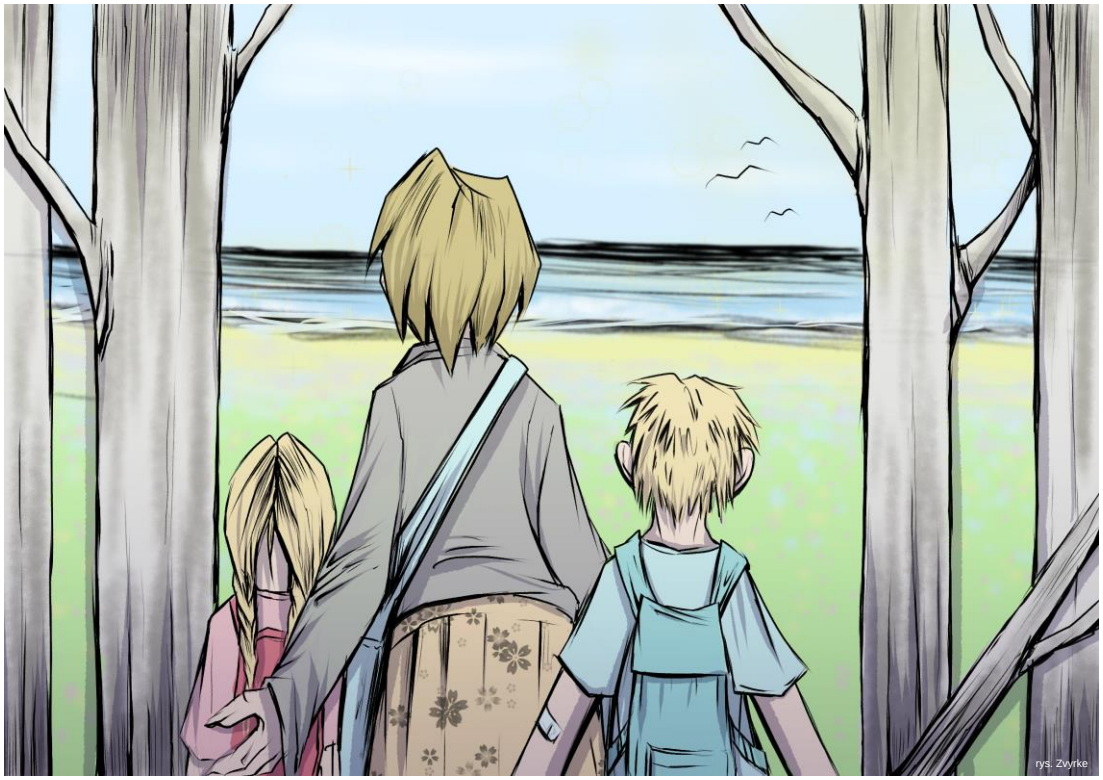

OCALIĆ OD ZAPOMNIENIA

Małgorzata Lewandowska

A tyś lot i górność
chmur, blask wody i kamienia.
Chciałbym oczu twoich chmurność
ocalić od zapomnienia.
K.I. Gałczyński, *Pieśni*

Napisałem w swoim życiu wiele słów o przeszłości. Zawsze dotyczyła ona jednak kogoś i czegoś innego; odległych ludzi, odległych spraw, których okruchy ledwie dotrwały

do naszych czasów. Nie sądziłem, że pewnego dnia zacznę spisywać własną historię, a raczej jej najważniejszy fragment – ten dotyczący ciebie.

Pierwszy raz zdało mi się, że zobaczyłem zarys twego kształtu, kiedy byłem jeszcze dzieckiem. Jak na czasy sprzed gwałtownych zmian ostatnich dekad, panowało gorące lato. Chociaż teraz, wspominając minione dni, śmieję się trochę z tego, co uważałem za upał i chciałbym, aby tamte temperatury wróciły. Pisząc te słowa, jestem uwięziony przez kolejną falę upałów w klimatyzowanym pokoju ze szczelnie zasłoniętym oknem i czuję jeszcze bardziej, że świat, który znałem, odchodzi w zapomnienie.

Wracając do owego dnia sprzed sześćdziesięciu lat… Być może to dziwne, ale od kiedy przypomniałem sobie o nim dekady temu, pamiętam wszystko tak, jakby zdarzyło się wczoraj. Niewiele zostało mi już wspomnień, które mają w sobie choćby cień tej intensywności i smaku życia. Większość z nich przypomina spłowiałe od słońca mury pustych domów. Być może w wypadku wielu, nawet nie pamiętam, że je kiedykolwiek miałem? Przeszłość coraz bardziej zdaje się być pełna cieni i brakujących fragmentów. Tylko sprawy dotyczące ciebie nadal rozświetlają mrok niczym nadbrzeżna latarnia mglistą noc. Dzięki tobie kształty zagubione w ciemności nabierają kolorów i znaczenia. Dlatego tak bardzo chciałabym ocalić je od zapomnienia.

Zapominanie nie boli, ale jego skutki potrafią ranić. Dlatego, od kiedy w pełni zdałem sobie sprawę z tego co dzieje się z moim umysłem, niczym modlitwa codziennie rano i wieczorem, zacząłem szeptać wspominania i informacje o tym kim jestem. Zacząłem także przeglądać i opisywać stare zdjęcia. Codziennie pytałem samego siebie, ile zapomniałem i jak długo będzie mi jeszcze dane pamiętać. Nie znajdowałem odpowiedzi ani w lustrzanym odbiciu, ani w twarzach lekarzy i pielęgniarek. Z każdym dniem i kolejną wizytą, kiełkował we mnie coraz większy strach. Wypełniał puste miejsca po tym kim byłem. Jakby natura chciała i tu udowodnić, że nie znosi próżni.

Pewnego ranka, po odprawieniu kolejnego porannego rytuału wspomnień, pomyślałam, że zrobię to co tylu przede mną. Zacznę spisywać kroniki. Nazwałem je „Kronikami naszego spotkania". Jednak nie planowałem tworzyć ich dla potomnych, tylko dla samego siebie. By nie zapomnieć. By mieć do czego wrócić. Móc na nowo rozpalić światło w latarni przeszłych zdarzeń, gdyby pewnego dnia zgasło.

A więc wracając do owego dnia sześćdziesiąt lat temu… Tak naprawdę wszystko zaczęło się od przeprowadzki. Gdyby nie ona, prawdopodobnie nigdy byśmy się nie spotkali.

Po zakończeniu roku szkolnego wyprowadziliśmy się z mieszkania moich dziadków w Sochaczewie do nowo wybudowanych bloków w mieście, którego nazwa niewiele mi

wówczas mówiła. Mama, za namową taty, przyjęła ofertę pracy w świeżo wybudowanym szpitalu. Tacie bardzo zależało, aby mama się zgodziła, bo razem z pracą mogliśmy dostać mieszkanie.

Mgliście pamiętam, że traktowałem to wtedy trochę jak przygodę, na końcu której miał na mnie czekać mój własny pokój. Obiecana mi przestrzeń nie dzielona ani z rodzicami, ani ze starszą siostrą Olką. Skala przeprowadzki i czekających nas zmian dotarła do mnie dopiero, kiedy po godzinach spędzonych w pociągach, kilku przesiadkach i jeździe karetką, którą podwiózł nas jeden z pracowników szpitala, stanęliśmy przed drzwiami naszego własnego mieszkania.

Wydaje mi się, że tata już przed przeprowadzką musiał mieć widoki na nową pracę, bo prawie od razu nasze życie wróciło do rutyny nieobecności rodziców, którą znaliśmy z Sochaczewa. Z tą różnicą, że teraz w domu nie było także dziadków.

W nowym miejscu nagminnie zostawaliśmy sami, z kluczem na tasiemce i obiadem do odgrzania. Szybko zdałem sobie sprawę, że mimo własnego pokoju, reszta lata nie zapowiadała się dobrze. Brakowało mi kolegów i znajomych miejsc. Wcześniej mieszkaliśmy w kamienicy z ogródkiem. W okolicy wszyscy się znali, zaś niedaleko znajdował się park i łatwo można było dostać się nad rzekę. Teraz monumentalna szarość bloków zdawała się rzucać głęboki cień na każdą chwilę.

Mama musiała coś wyczuć, albo i na nią nowe otoczenie wpływało tak jak na nas, gdyż pewnego dnia zaproponowała byśmy chociaż na krótko wyjechali poza miasto. Jej wybór, o czym wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, padł na twoje jezioro. Nie wiem, jak mama się o nim dowiedziała. Być może powiedział jej ktoś w szpitalu? Kiedy później poznałem już na osiedlu nowych kolegów i pytałem ich o twoje miejsce, nikt nic nie wiedział.

Wiem, że większość dni w moim życiu po prostu się zdarzyła, za to z dnia naszego pierwszego spotkania pamiętam nawet, że był całkowicie zwyczajnie zapowiadającym się poniedziałkiem. Tata jak zwykle poszedł do pracy, a mama prawie do samego południa odsypiała weekendowy dyżur. Kiedy wstała, siedzieliśmy z siostrą w swoich pokojach. Mama zawsze potrzebowała rano chwili dla siebie, więc jej nie przeszkadzaliśmy.

Zdaliśmy sobie sprawę, że dzień potoczy się odmiennym torem, gdy mama zawołała nas do kuchni wypełnionej zapachem kawy. Stała nad wielkim wiklinowym koszem, a z radia właśnie płynął hejnał mariacki. Powiedziała, że jedziemy na piknik i kazała nam spakować ręczniki, kostiumy kąpielowe, badmintona oraz cokolwiek chcemy, byleby tylko zmieściło się w plecakach. Siostra trochę marudziła, ale mama rzuciła jej „to spojrzenie".

Gdy byliśmy gotowi, udaliśmy się na przystanek, który znajdował się na granicy osiedla. Na pytania o cel podróży mama z tajemniczą miną odpowiadała, że zobaczymy, kiedy dojedziemy.

W autobusie zajęliśmy moje ulubione miejsca z tyłu. Mama nadal milczała jak zaklęta i tylko uśmiechała się zagadkowo. Próbowałem więc wysnuć wnioski sam w drodze dedukcji. Tak jakby zrobił to Sherlock Holmes. Nie byłem w tym jednak zbyt dobry.

W autobusie robiło się coraz cieplej i w pewnym momencie musiałem przysnąć. Pamiętam, jak mama obudziła mnie i powiedziała, że niedługo wysiadamy.

Po wyjściu z autobusu stanęliśmy naprzeciw ściany lasu. Siostra od razu zaczęła narzekać, że jej zimno i że to jakieś straszne wygwizdowo. Faktycznie, od starych drzew bił pachnący żywicą, wilgotny chłód. Mama nie przejmując się jej narzekaniem, chwyciła mocno rączkę wiklinowego kosza i powiedziała, że musimy się trochę cofnąć. Minęliśmy zakręt, za którym ukazała się odchodząca od szosy ścieżka. Skręciliśmy w nią, zanurzając się w wyostrzający zmysły cień.

Otaczał nas las i marudzenie Olki.

Wreszcie wąska wstążka leśnej dróżki rozlała się w polanę. Mama zatrzymała się na moment. Stanąłem obok niej. Siostra przyłączyła się do nas, po czym zamilkła. Przed nami rozciągała się nakrapiana barwnymi kwiatami oaza świeżej, soczystej zieleni, płynnie przechodząca w piaszczystą plażę, tak złocistą, jakby ktoś obsypał ją słońcem. Zmrużyłem oczy, chroniąc je przed refleksami odbijającymi się od wody i nie czekając na pozwolenie, pobiegłem ku połyskującej błękitem tafli.

Przewrotny czas wyostrzył to niesamowite uczucie zachwytu, które mnie wówczas ogarnęło. Po nijakości dni spędzonych wśród wszechogarniającej szarości bloków, w tym jednym ułamku chwili to jezioro było dla mnie rajem. Najpiękniejszym, najbardziej magicznym miejscem na Ziemi! Może nawet w całym Wszechświecie!

Zanim dotarłem do brzegu, dobiegło mnie nawoływanie mamy, abym zdjął sandały. Zrzuciłem je więc w pośpiechu i popędziłem przed siebie.

Zaśmiałem się z czystej radości pod wpływem chłodnego dotyku wody. Kątem oka uchwyciłem srebrne kształty rybek pierzchających w stronę szuwarów. Już miałem podążać za nimi, gdy za moimi plecami ponownie rozległ się głos mamy. Odwróciłem się.

Mama chciała, bym wraz z Olką pomógł w przygotowaniach. Niechętnie wyszedłem więc z wody i chyba dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że byliśmy tu sami. Tylko mama, Olka i ja. Mieliśmy więc całą plażę i polanę do naszej dyspozycji.

Gdy już się rozpakowaliśmy, mama bardzo ucieszyła się, że jedzenie i pozostałe rzeczy dotarły w doskonałym stanie. Musiało ją to wprawić w dobry humor, bo zaczęła dużo mówić. Moja kochana mama zawsze tak robiła, kiedy była szczęśliwa.

Mówiła więc o tym, jak się cieszy, że jesteśmy tu pierwsi, bo możemy zająć najlepsze miejsce. I że to pewnie dlatego nikogo poza nami tu jeszcze nie ma, bo jest poniedziałek. I że jest ciekawa, kto się pojawi. I szkoda, że nie wysiadła z nami z autobusu ta miła rodzina. I że być może poznamy jakichś innych miłych, ciekawych ludzi. Najlepiej rodziny z dziećmi. Być może nawet będą to sąsiedzi z naszego osiedla… Mówiła i mówiła, a gdy skończyliśmy jeść na chwilę przerwała rozważania o przyszłych plażowiczach i kazała nam trochę poczekać na kocu, zanim pójdziemy do wody. Następnie znowu zaczęła snuć plany, na temat rodzin z dziećmi, które być może niedługo poznamy.

Nie poznaliśmy. Czekaliśmy, aż minie wyznaczony czas „na trawienie", ale nikt nowy nie wyłaniał się z lasu. Mama zdawała się tym trochę przejmować i zaproponowała żebyśmy pograli w badmintona. Siostra, jak to ona, w odpowiedzi utonęła w wyciągniętej z plecaka książce. Żeby mama nie czuła się źle, pograłem z nią trochę, po czym zapytałem, czy mogę wracać do wody.

Zgodziła się, ale kazała poruszać się w zasięgu jej wzroku.

Gdy wchodziłem do jeziora, pomachała mi ręką. Potem była już tylko woda, słońce i śledzenie uciekających rybek. Goniłem właśnie jedną z nich, gdy nagle zdało mi się, że zobaczyłem ciebie. A raczej nie ciebie, tylko zarys twojego kształtu. A w nim oczy. Duże, magnetyczne, jakby utkane z wody, a jednak oddzielone od niej.

Mrugnęłaś.

Odskoczyłem w tył. Przyznam, że trochę mnie wtedy przestraszyłaś. Musiałem coś krzyknąć, gdyż zaraz usłyszałem, jak mama woła moje imię. Odwróciłem się, słysząc chlupot wody uciekającej spod jej stóp.

Chwilę później była już przy mnie i pytała co się stało.

Powiedziałem o tobie. O kształcie, który zobaczyłem pod powierzchnią. Mama spojrzała rozszerzonymi oczami na wskazane przeze mnie miejsce, ale żadne z nas nie mogło nic dojrzeć przez zasłonę mułu, obudzonego do życia gwałtownymi ruchami. Staliśmy tak przez kilka uderzeń serca. Muł zamiast opadać na dno, zdawał się tylko gęstnieć. Niespodziewanie mama mocno złapała mnie za rękę i pociągnęła w kierunku plaży.

Kiedy dotarliśmy do koca, obudziła Olkę i kazała nam się szybko zbierać. Siostra oczywiście znowu narzekała. Mama powiedziała, żeby przestała marudzić i wzięła się za pomoc przy pakowaniu, bo musimy się spieszyć na autobus.

Milczała przez całą drogę do domu.

Dopiero po powrocie zaczęła wypytywać mnie o szczegóły: co dokładnie widziałem i czy jestem tego pewien. Pytała tak kilka razy, aż zainteresowała się tym siostra, a przecież Olka prawie nigdy nie zwraca uwagi na to co mówię.

Do dziś słyszę w myślach, jak zanuciła melodię jednej z piosenek, które babcia śpiewała w kościele:

– O, mój wielki Boże! Trup pływa w jeziorze!

Mama skarciła ją za to takim spojrzeniem, że nawet ja poczułem jego mrożący efekt.

Przemknęło mi wtedy przez głowę, że siostra się myli. Że na pewno nie jesteś trupem. Trupy przecież nie mrugają. Jednak nie powiedziałem tego. Przeciwnie, ze wstydem muszę przyznać, że zamiast przekonać Olkę i mamę, iż nie byłaś martwa, sam zacząłem mieć wątpliwości. Po prostu pod wpływem powtarzających się pytań i kwestionowania udzielanych przeze mnie odpowiedzi, moja wcześniejsza pewność malała. W końcu nie wiedziałem, czy to wszystko mi się nie przywidziało. Zacząłem się plątać w zeznaniach, na co siostra zareagowała śmiechem.

Ostatecznie mama kazała nam iść do swoich pokoi, a sama wyszła z domu, zamykając drzwi na klucz. Zdziwiłem się, bo w ciągu dnia, jeśli ktoś był w mieszkaniu, rodzice nigdy tego nie robili. Później, z podsłuchanej rozmowy między nimi, dowiedziałem się, że zadzwoniła do taty do pracy i opowiedziała mu o całym zdarzeniu. Potem zadzwoniła jeszcze na milicję.

Nigdy więcej nie pojechaliśmy z rodzicami nad to jezioro.

Ogromnie niezręcznie jest mi się do tego przyznać, ale po jakimś czasie dziecięce wspomnienia związane z tobą zagubiły się w morzu innych, nowych wydarzeń. Aż pewnego razu, już na studiach, znajomi zaproponowali mi wyskoczenie nad jezioro. Miejsce wybrał Jacek, jeden z moich kumpli z roku. Mieliśmy opijać udaną sesję.

I opijaliśmy. Zresztą, wiesz, jak było…

Przyznam, że tuż po przyjeździe, nie poznałem twojego jeziora. Czas je zmienił. A może zmienił mnie? Niemniej na początku zdawało się takie… normalne. Nawet kolory. Oprószone szarością dnia, wyblakłe… podobne do barw wielu innych miejsc. Ot, jezioro gdzieś w środku lasu.

Wśród śmiechu i docinków rozłożyliśmy namioty i wróciliśmy do picia.

A potem niebo okryło się promieniami zachodu słońca. Nasza nietrzeźwa grupa rozpaliła w odpowiedzi ognisko. Widok zapierał dech w piersi, a zagubione ziarnka magii i wspomnień obudziły się do życia. Powoli odnosiłem wrażenie, że skądś znam tę plażę.

Kolejne fragmenty wskoczyły na swoje miejsce, gdy zaczęliśmy jeść. Były z nami dwie dziewczyny. Jedna z nich narzekała na dym, przypaloną kiełbaskę, chleb, który spadł na ziemię, komary… Druga była jej kompletnym przeciwieństwem. Śmiała się, dużo mówiła i żartowała. *Piknik z siostrą i mamą!* Wrócił do mnie przebłysk dzieciństwa.

Tymczasem, chyba tylko po to, by nastraszyć dziewczyny, Jacek zaczął opowiadać historię tego miejsca.

Było mi za gorąco od żaru bijącego od ognia, więc usiadłem bokiem, tak, iż mogłem obserwować jezioro.

Jacek z zaangażowaniem opowiadał o topielicy. Demonie, utopionej tu kiedyś czarownicy, która po śmierci, w akcie zemsty wciągała pod wodę mieszkańców niedalekiej wioski. Mówił, jak przy próbach jej obłaskawienia nad brzegiem jeziora zarzynano bydło i kury w takich ilościach, że krew umierających zwierząt barwiła wodę i piasek na czerwono.

Szczególnie zapadł mi w pamięć fragment brzmiący mniej więcej tak:

– Mimo składanych ofiar, topielica była nieubłagana i nadal wyciągała żądne krwi szpony po każdego, kto zanurzył się w wodach jeziora. Tylko kilku osobom udało się wyrwać z jej mocy. Choć być może, to ona pozwoliła im odejść, najpierw naznaczając krwawym piętnem obłędu? Szerzyli potem szalone opowieści pełne demonicznego okrucieństwa i uczt wypełnionych ludzkim mięsem. Siali słowami dodatkowy postrach wśród okolicznych mieszkańców. Z ich opisów wyłaniał się obraz bezlitosnego potwora o lodowatym sercu, który szczególnie upodobał sobie smak…

Jacek zawiesił na moment głos, próbując zbudować napięcie. Wyglądało na to, że mu się uda, gdy wtem Kamil głośno beknął. Wszyscy wybuchli śmiechem, a nastrój grozy prysł jak bańska mydlana. Zdawało się, że historia nie zostanie dopowiedziana. Jednak, kiedy wszyscy już się uspokoili, jedna z dziewczyn upomniała się o finał. Tymczasem Jacek chyba stracił wenę do mrocznych opowieści, bo dodał tylko, że:

– Topielica nadal topiła i żarła ludzi. Szczególnie upodobała sobie serca bachorów. Blady strach padł na okolicę, aż wreszcie wszyscy się wyprowadzili.

Zakończył stwierdzeniem, że gdzieś nad jeziorem powinny jeszcze być resztki wioski.

Kierowany impulsem przeczesałem spojrzeniem linię nadbrzeżnych lasów. To idiotyczne, ale szukałem świateł, które mogły palić się w oknach opuszczonych chat.

I wtedy po raz drugi cię zobaczyłem.

Tym razem nie krzyknąłem. W milczeniu patrzyłem, a raczej chłonąłem niezwykły obraz.

Stałaś do połowy zanurzona w jeziorze. Twoje ciało okrywały włosy wysrebrzone światłem księżyca. Twa skóra także zdawała się mienić jego blaskiem. Uśmiechałaś się?

Nie utopiłaś mnie, pomyślałem, ale chyba też musiałem powiedzieć na głos, bo Jacek klepnął mnie w ramię i zaczął dopytywać, o co mi chodzi.

Tak jak wtedy, gdy byłem dzieckiem, odwróciłem od ciebie spojrzenie; a gdy chwilę później próbowałem cię odnaleźć, natrafiałem jedynie na złudzenia kreowane przez wodę.

Jacek nie dawał mi spokoju, więc powiedziałem na odczepnego, że idę się odlać do lasu.

Musiałem ochłonąć.

Nie zobaczyłem cię już więcej do końca naszego wyjazdu.

Później wielokrotnie wracałem nad twoje jezioro. Próbowałam cię odnaleźć. Siedziałem na brzegu, chodziłem dookoła i wyczekiwałem.

Na próżno.

Sprawdzając okoliczne lasy, natrafiłem tylko na ruiny domu porośnięte wybujałymi krzakami cierpkich jeżyn.

Potem próbowałem zapomnieć. Ale i to mi nie wychodziło. Im więcej wysiłku wkładałem w to, by o tobie nie myśleć, tym wyraźniejsze stawały się wspomnienia. Zdało mi się, że nie mogę uciec od ciągłego cyklu pytań i wątpliwości. Twój obraz towarzyszył mi, gdy kładłem się spać, gdy śniłem i gdy budziłem się kilka godzin później. Jednego dnia byłem pewien, że faktycznie widziałem cię w jeziorze. Kolejnego zastanawiałam się, czy nie byłaś tylko przywidzeniem.

W końcu poszedłem do Jacka i zapytałem go, skąd znał opowieść o topielicy. Roześmiał się i odpowiedział, że to była jedna z historii, którymi straszyła go nieżyjąca już babcia. Ten urwany trop, mimo wszystko okazał się wskazówką. Zacząłem cię szukać w baśniach ludowych i legendach. Potem w starych dokumentach i kronikach.

Nie wiem sam, czy stałaś się moją obsesją czy muzą? Czy opętałaś mnie, czy dałaś cel? Może jedno i drugie? Prawda jest taka, że zanim zobaczyłem cię ponownie, nie wiedziałem co chcę robić w życiu. Kim chcę być. Codziennie udawałem, że wiem. Ale tak naprawdę nie miałem bladego pojęcia, co chciałbym osiągnąć. Po prostu robiłem to co inni, lub to czego ode mnie oczekiwano. Studiowałem historię, gdyż w szkole szła mi dość dobrze, a do tego mój najlepszy kumpel chciał iść na ten kierunek. Kiedy wreszcie dostałem się na uczelnię, bardziej piłem niż studiowałem, bo wszyscy znajomi pili. Nawet sam nie wiem, jakim cudem prześlizgiwaliśmy się z roku na rok.

A potem cię zobaczyłem i wszystko się zmieniło.

***

Poczekaj tylko odłożę ten zeszyt. Trochę mi zaschło w gardle, więc jeszcze tylko łyk wody… Wiesz, spisałem to wszystko, żeby nie zapomnieć. Ale teraz już nie zapomnę.

Przez ciebie… Dzięki tobie! Postanowiłem poświęcić się tematyce procesów czarownic w Polsce. Zostałem nawet pieprzonym profesorem! Przepraszam. Nie powinienem kląć. Nie przy tobie.

Nawet nie wiesz, jak ciężko było zdobyć niektóre dokumenty. Kiedy zaczynałem, kurie ukrywały dokumenty sprzed setek lat prawie tak jak współcześnie sprawy o pedofilię. Ale w końcu cię znalazłem!

Byłaś prawdziwą osobą.

Miałaś nawet imię!

Zaczynało się na „s", reszty niestety nie dałem rady odczytać. Ale wiem, że twoje imię było dość krótkie. Sława? Stasia? Nieważne. To znaczy ważne, ale może sama mi to powiesz? Najważniejsze, że istniałaś i byłaś dobra! Po prostu leczyłaś okolicznych mieszkańców ziołami. Pomagałaś, na ile potrafiłaś. A potem przyszła zaraza, której nie dałaś rady stawić czoła. Nie jako niepiśmienna dziewczyna, która znała tylko zioła. Nie przy ówczesnym poziomie wiedzy. Bez antybiotyków, współczesnych leków, kroplówek.

Chociaż część dokumentów dotyczących twojej sprawy zniknęła, znalazłem informację o tym jak zginęłaś. Nadgorliwy tłum chciał sam przeprowadzić próby pławienia. Idioci, nawet nie wiedzieli, jak to zrobić poprawnie! Pobili cię, związali razem twoje ręce i nogi, i po prostu wrzucili w samym gieźle do świeżo wyrąbanego przerębla. Nie było żadnej liny. Bezmyślni kretyni, nie mogli cię wyciągnąć! Nawet kiedy od razu poszłaś pod wodę!

Nie miałaś szans.

Umarłaś dowodząc swojej niewinności.

Tak! Niewinności.

Dlatego nie utopiłaś mnie, kiedy byłem dzieckiem? Bo byłaś dobra? Niewinna?

Nie utopiłaś też żadnego z nas lata temu? Co prawda po opowieści Jacka nikt już się jakoś nie kwapił, by wchodzić do wody, ale przecież mogłaś to zrobić wcześniej? Czy było nas za dużo?

Nie. To na pewno nie to.

Na pewno. W ciągu dnia Jacek przepłynął sam całe jezioro tam i z powrotem, i nic mu się nie stało.

Kiedy byłem dzieckiem, pewnie obserwowałaś nas od samego początku. Przebywała tu tylko nasza trójka i tylko ja wskoczyłem do jeziora. Olka cały czas czytała, a mama opalała się na brzegu. Miałaś czas, miałaś możliwość, a jednak nic nie zrobiłaś.

***

Jeśli tu nadal jesteś poczekasz chwilę?

Chyba już się nie boję. Wiem, to brzmi idiotycznie. Jeszcze bardziej idiotycznie, kiedy mówię to na głos. Szukałem cię tyle lat. Wyczekiwałem na brzegu, ale bałem się wejść do wody.

Wstydzę się tego.

Nie wiem, czy bardziej bałem się, że gdy wejdę do jeziora, to w nim będziesz, czy tego, że cię nie zobaczę. Z jednej strony szukałem odpowiedzi, a z drugiej obawiałem się, że ją dostanę. Bałem się, że stworzony przeze mnie obraz ciebie będzie odmienny od rzeczywistości.

Teraz to już jednak nieważne. Teraz już się nie boję.

Tylko daj mi chwilę, żebym zdjął ubranie.

A może lepiej tego nie robić?

Wiesz, zmieniłem się przez te lata.

Albo nie, zdejmę. Przecież jak się zmoczy to i tak nie będzie różnicy. Przyklei się wszystko. Oblepi brzuch, pochylone plecy, za chude nogi… Przepraszam, że nie miałem odwagi przełamać swoich obaw wcześniej.

Poczekaj, dobrze? Jeśli tego wszystkiego słuchasz, proszę, nie odchodź.

***

Jaka ta woda zimna! Brryyy! Może trzeba było wziąć ze sobą coś mocniejszego na rozgrzanie? Ale nie chciałem.

Chciałem stanąć przed tobą taki jaki jestem. Nawet odstawiłem leki. Gdybym tego nie zrobił, pewnie nie umiałbym tu trafić. Zabierały mój ból, a razem z nim i to kim byłem.

Wiesz, umieram.

Tak, truizm, wszyscy umierają. Z twojej perspektywy ludzkie życie wygląda pewnie jak życie muchy.

Ale ja umieram teraz. Już. Mam demencję i raka. Tak jak moja siostra. Pamiętasz ją? Albo moją mamę? Olka zmarła w zeszłym roku, rodzice też już odeszli.

Teraz, widać, moja kolej.

Rak zjada mnie od środka. Zjada to, co zawsze było dla mnie najważniejsze: pamięć i myśli. Zabrał już tyle… Dzień po dniu odrywa kawałki tego, kim byłem. Nie chciałem, by pewnego dnia zabrał mi i ciebie. Dlatego spisałem historię naszych spotkań. Czytam ją codziennie, żeby mieć pewność, że nie zapomnę.

Położyłem „Kronikę" na brzegu, koło ubrań.

Może ktoś ją kiedyś znajdzie? Jeśli nie chcesz, aby tak się stało, zabierz ją, proszę. Jest twoja tak jak i ja.

I wiesz? Naprawdę już się nie boję. Kiedy leżałem przez kolejne dni w szpitalu, zdałem sobie sprawę, że tak naprawdę nie bałem się śmierci. Tak naprawdę bałem się, że odejdę z tego świata, nie pamiętając o tobie i że będę żył, nie istniejąc, nie wiedząc, kim jestem. Bo czy można być sobą bez wspomnień?

Gdy zacząłem pisać ostatni rozdział, zrozumiałem, że muszę spróbować odnaleźć cię jeszcze raz.

Spotkanie ciebie było najbardziej niezwykłą rzeczą, która mi się przytrafiła.

***

Och!

Wiedziałem, że tu jesteś!

Wiedziałem, że słuchasz!

Bo to ty, Pani? Poznaję otaczającą cię łunę. Tak jak wtedy, gdy otulało cię srebrne światło księżyca… Pozwól, że podejdę bliżej.

To musisz być ty!

Wybacz pytania. Zostawiłem okulary na brzegu, a oczy już nie te same. Wyglądasz tak, jak za pierwszym razem, gdy cię zobaczyłem!

Mam na imię Tomasz, przepraszam, nigdy nie miałem szansy się przedstawić… Czy mogę liczyć na poznanie twego imienia?

– Tomaszu, mam na imię Śmierć.

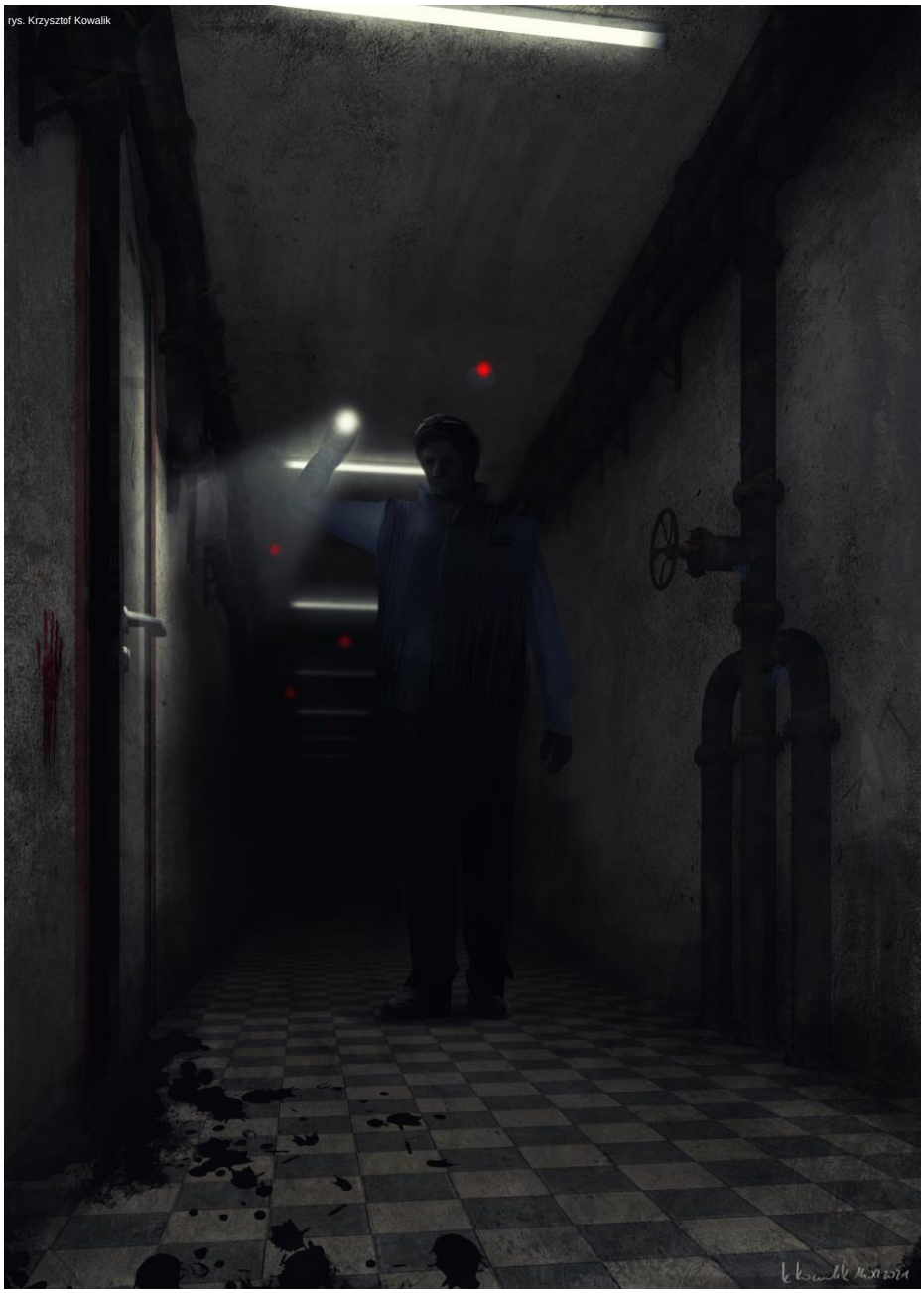
rys. Krzysztof Kowalik

OPIEKUN

Tomasz Nowicki

Miasto mgły przygotowywało się do snu. Zmęczeni pracą ludzie powoli układali się w swoich łóżkach, uciekając na kilka nocnych godzin od codziennego znoju. Ostatnie kłótnie wyciszały się wraz ze zgiełkiem płynącym nieustannie ze szklanego ekranu. Kochankowie

rozgrzewali pościel ciepłem splecionych ciał, a samotni przytulali do siebie mruczące i szczekające substytuty miłości.

Życie w Perun było trudne. Miejsce poza czasem i przestrzenią goniącego za zachodnimi cywilizacjami państwa skutecznie opierało się postępowi. Nowy wiek przyniósł ukrytemu w cichej dolinie miastu kilka nowinek. Internet, galerie handlowe, smartfony. Żyć nie umierać.

Natomiast korporacje, banki czy uber kompletnie się nie przyjęły. Mieszkańcy nie chcieli dorabiać się za wszelką cenę, zadłużając swoje życie u chciwych banksterów. Nie mieli najmniejszej ochoty brać udziału w wyścigu o wszystko i nic. Zatracać się w szczurzym pędzie korporacyjnego świata. Nie przekonały ich kolorowe reklamy i obietnice wszelakich dobrodziejstw.

Takie zachowanie miało swoje konsekwencje. Brak rozwoju zaowocował zablokowaniem dotacji unijnych. Galopujące bezrobocie utrzymywało się na dwucyfrowym poziomie. Stagnacja dochodowych biznesów spowodowała najniższy poziom rozwoju w kraju.

Obywatele Perun woleli spokojne, bezstresowe życie pośród marzeń i mgły. Wielki świat ominął miasto i ruszył dalej na wschód. Pozostawieni sami sobie tubylcy betonu śnili dalej fantastyczne miraże o dziwnych, nierealnych światach.

Jesteś tylko nic nie znaczącym skrzepem z łona swojej rodzicielki.

Cichy, nienaturalny głos rozległ się w ciemnościach starego piwnicznego korytarza technicznego opuszczonego hotelu w centrum miasta. Słabe jarzeniówki ledwo co rozpraszały mrok, rzucając sferyczne refleksy na zakurzone ściany i kilometry rur ciągnących się po obu stronach wąskiej gardzieli. Czerwone demoniczne diody czujników antysmogowych migały złowieszczo co kilkadziesiąt metrów. Upiorne miejsce przyprawiało o gęsią skórkę.

Odrażający strzępie mięsa, tylko omyłkowo nazywany człowiekiem, dlaczego jeszcze żyjesz?

Idący wolno mężczyzna nie reagował na te straszne słowa. Omiatał światłem latarki zakamarki. Pilnował, taką miał pracę i starał się wykonywać ją sumiennie. Doglądał starego Grand Hotelu na nocnych zmianach. Pojawiał się w pracy o osiemnastej, przebierał w służbowy uniform z widocznym na plecach dumnym napisem „Ochrona”, a kończył

o szóstej rano. Nieraz wydawało mu się, że nigdy nie opuszcza swojego miejsca pracy. Czas odpoczynku zacierał mu się, mijając błyskawicznie. Ochroniarz żył swoją pracą i tylko tu – w tych ciemnych pomieszczeniach opuszczonego gmaszyska - czuł, że znajduje się na swoim miejscu.

Zakładał pas niepotrzebnych gadżetów: pałkę teleskopową, gaz pieprzowy, kajdanki i ruszał na pierwszy obchód niszczejącego budynku. Środki przymusu bezpośredniego nigdy nie były mu potrzebne. Zła sława obiektu skutecznie odstraszała nocnych amatorów cudzych rzeczy, bezdomnych i wandali. Jedynym przedmiotem niezbędnym w jego wyposażeniu była latarka. Stara dobra przyjaciółka od pierwszego dnia pracy towarzyszyła mu dzielnie w nocnych eskapadach.

Podrapał brzydką bliznę na prawym policzku - starą pamiątkę po dziecięcych latach beztroski. Kochał te samotne godziny, gdy mógł spokojnie wsłuchiwać się w cichy oddech śpiącego budynku. Siadał na schodach i pogrążał się w surrealistyczne światy kreowane przez wrażliwy umysł. Ochroniarz był fantastą i lubił marzyć.

Zabij się niedojdo, po co się męczysz?

Zdarzały się także i noce, gdy hotel budził się z letargu. Wtedy nocny stróż musiał być niezwykle ostrożny. Budynek potrafił być okrutny. Gdy tajemnicze siły szalały po opuszczonych piętrach hotelu, o wypadek nie było trudno. Gdy znikał jeden schodek, a nieuważny nieszczęśnik źle postawił stopę, skręcona kostka była najmniejszym problemem. Zdarzały się ciężkie kontuzje, złamania, a nawet śmiertelne wypadki. Mieszkańcy miasta mgły wiedzieli, żeby omijać stary budynek szerokim łukiem.

Ochroniarz szedł dalej, kontynuując swój obchód. Regulamin kontraktu mówił jasno: dwa patrole na dwunastogodzinną zmianę. Od piwnicy po ostatnie piętro „Umarlaka" - jak potocznie nazywano nieczynny od lat przybytek.

Mężczyzna sumiennie wykonywał swoją pracę. Nie przysypiał na służbie, trzymał się sztywno czasu obchodów, regulaminowo opisywał w dzienniczku każdą czynność.

Oczywiście nagminną praktyką w agencjach ochrony było unikanie jakichkolwiek wycieczek po chronionym terenie. Nie pomagały kontrole, kary pieniężne. Nocne zmiany rządziły się swoimi prawami. Pracujący za głodowe stawki pracownicy przeważnie przesypiali całe noce, nie zwracając uwagi na bezpieczeństwo obiektu.

Hotel „Umarlak" swój niesławny przydomek zdobył już w pierwszych latach działalności. Były to mroczne czasy starego ustroju, gdzie wszystko musiało być idealne

i nieskazitelne.

W pierwszym tygodniu, po uroczystym przecięciu wstęgi przez komunistycznego aparatczyka, zdarzył się nieszczęśliwy wypadek.

Na ostatnim pietrze, w apartamentach dla oficjeli, znaleziono martwego magika, iluzjonistę. Przybył on oficjalnie na zaproszenie domu kultury w Perun i zatrzymał się w grand Hotelu czekając na występ.

Plotka głosiła, że to służby specjalne po cichu wyeliminowały, nieprzychylnego władzy człowieka. Czarodziej umierając rzucił straszliwą klątwę na ludzi i miejsce swej kaźni. Ludzie śmieli się z głupich bajań, do czasu.

Po tym incydencie lawina tragedii ruszyła pełną parą. Samobójstwa, nieszczęśliwe wypadki, popadanie w obłęd gości. Złamania kończyn, uszkodzenia kręgosłupa były na porządku dziennym. Zawały i wylewy też się zdarzały. Ale to najcięższe zbrodnie oraz morderstwa popełniane za zamkniętymi drzwiami wygłuszonych pokoi gościnnych szybko zainteresowały ówczesne władze.

Prowadzono śledztwa, zakładano podsłuchy i instalowano kamery. Na nic. Goście hotelu, jak i personel, zabijali się w szaleńczym amoku, nie zważając na systemy bezpieczeństwa, które w niewyjaśniony sposób psuły się co chwila.

Przez trzydzieści lat gierkowski prezent dla Perun uśmiercił trzydzieści pięć osób, a dwadzieścia dwie trwale okaleczył.

Mieszkańcy miasta mgły, pomimo wyciszania problemu, wiedzieli swoje. Opowiadając mroczną legendę o klątwie, która spadła na pechowy budynek, straszyli potencjalnych podróżnych i gości.

Komuniści stawali na głowie, by zatuszować wszystkie nieszczęścia. Gazety miały kategoryczny zakaz publikowania jakichkolwiek artykułów na temat „Umarlaka". Ustrój totalitarny nie wierzył w nadnaturalne fanaberie.

Czasy przyjaźni z wielkim bratem zza wschodniej granicy skończyły się okrągłym stołem, a w umęczonej ojczyźnie Kopernika i Szopena nastały złote czas kapitalizmu i demokracji. Kto żyw kupował, sprzedawał i dorabiał się na wszystkim. Nieruchomości schodziły jak świeże bułki, tylko Grand Hotel stał, niszczejąc w osamotnieniu.

Po upadku komuny dyrekcja zniknęła jako pierwsza, zapadając się pod ziemię, przywłaszczyła co cenniejsze przedmioty, wypłaty dla personelu i zdeponowany majątek nielicznych klientów. Pozostawieni sobie pracownicy hotelu rozkradli resztę i uciekli jak najdalej od przeklętego miejsca. Budynek pozostał sam sobie na zatracenie.

Mijał czas i po wielu latach pojawił się niczego nieświadomy inwestor. Potężna

korporacja zza oceanu wykupiła za bezcen chylącą się ku upadkowi ruinę. Szczęśliwi radni miejscy całując dłonie uwalniających ich z problemu biznesmenów, oddali z radością „Umarlaka" w bezduszne łapy korporacji.

Przysłano fachowców mających oszacować koszty remontu. Dumni, pewni swego zawodowcy, hardo otworzyli zamknięte od lat wrota. Weszli do środka, rozstawiając sprzęt.

Pierwsze zgłoszenia o przerażających krzykach umierających ludzi, zostały odnotowane około południa. Dzwonili przypadkowi przechodnie i właściciele sklepików, sąsiadujący z nawiedzonym gmaszyskiem.

Policjanci ruszyli na ratunek. Doskonale znali mroczną przeszłość budynku i niespieszno było im narażać się na niebezpieczeństwo dla nieznajomych, którzy postąpili tak lekkomyślnie.

Służba nie drużba. Mundurowi przybyli na miejsce po godzinie od pierwszego meldunku. Weszli ostrożnie, rozglądając się na wszystkie strony. Zamiast pracujących inżynierów, rzeczoznawców przywitała ich martwa cisza.

Przed budynkiem nie było ciekawskich, sklepikarze pozamykali swoje interesy i ulotnili się, obwieszczając na drzwiach: „Dziś zamknięte". Buntowniczy młodzieńcy z telefonami przy twarzy nagrywający wszystko, by zaistnieć w mediach społecznościowych, nie pojawili się, jak to mieli w zwyczaju. Stróże prawa stali osamotnieni, zastanawiając się co dalej.

Nie znaleziono żadnego z korpoludków. Poszukiwania zakrojono na wielką skalę. Pojawili się detektywi, służby specjalne oraz ogromna ilość przysłanych przez firmę doradców. Tajemnica goniła tajemnicę, a po zaginionych pozostały tylko porozrzucane sprzęty.

Bezduszna fabryka kapitału przegrała z nienazwanymi duchami przeszłości. Przełknęła gorzką pigułkę porażki i zrezygnowała z odbudowy budynku. Spisano go na straty i wystawiono na sprzedaż.

Ubezpieczono nieruchomość, a jednym z punktów kontraktu było zapewnienie obiektowi ochrony. Należało zamontować systemy przeciwpożarowe i zorganizować ochronę fizyczną, która zobowiązała się pilnować dobytku dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Hotel bronił się, jak mógł, przed zmianami. Jednak sprytni ludzie wykorzystywali chwilę, gdy zmęczony czuwaniem zapadał w twardy sen. Firmy zakładające systemy alarmowe pracowały zawsze w dzień, a ekipy składały się z kilku ludzi, którzy nigdy nie spuszczali z siebie wzroku. Zawsze czujni i uważni, na każdy nienaturalny dźwięk reagowali błyskawicznie. Gdy budynek budził się, dając o tym znać skrzypieniem podłóg, burczeniem

w zardzewiałych rurach kanalizacyjnych, opuszczali go jak najszybciej, pozostawiając sprzęt. Pracownicy wracali do roboty po kilku dniach, zaczynając zabawę od początku. Po ukończeniu prac budowlanych pozostała ostatnia rzecz do załatwienia: należało zatrudnić nocnego stróża.

Odrażająca kreaturo nienawidzi cię cały świat, zdechnij wreszcie.

— Co ci się dzieje, kolego? — szepnął patrolujący ochroniarz. — Dlaczego jesteś taki wściekły? Noc jeszcze młoda, spokój, cisza. Dlaczego nie śpisz?

Korytarze piwnicy skończyły się, a kręte schody powiodły mężczyznę na parter. Tu nie potrzebował latarki. Przez okna wpadał blask miasta, rozświetlając mrok niegdyś eleganckich przestrzeni.

Budynek czuwał dzisiejszej nocy. Był rozbudzony i wrogi. Coś zaburzyło jego sen. Strzegący go człowiek doskonale zdawał sobie sprawę, na jakie niebezpieczeństwo jest narażony. Stare mury nie lubiły, by im przeszkadzać. Wolały trwać tygodniami w letargu, śniąc o dawnej świetności. Hotel ledwo co tolerował ochroniarza, który od lat patrolował jego wnętrze. Natomiast każdy intruz, jakiekolwiek naruszenie spokoju kończyło się natychmiastowa reakcją.

Młody mężczyzna pracujący na nocki w jakiś sposób dogadał się z „Umarlakiem". Pracował tu już bardzo długo i dobrze znał kaprysy swego metafizycznego przyjaciela.

Młodemu chłopakowi zmotywowanemu niezłą stawką godzinową nie straszne były plotki i jakieś bajania o nawiedzonych hotelach. Lubił oglądać filmy grozy, czytać dobre horrory. Znał dobrze mitologię Cthulhu i mroczne światy dark fantasy. Jakieś bajki o strachach były dobre dla dzieci. Młodzieniec nie bał się tego co nienaturalne, uważał bardziej na ludzi, w których widział największe zagrożenie.

Śmieciu ludzki, nikt cię nie kocha, nikomu na tobie nie zależy"

Ochroniarz przeszedł przez wielki hol i ruszył w kierunku pomieszczeń socjalnych. Niegdyś tętniące życiem dziesiątek pracowników kuchnie, pralnie, magazyny, dziś tonęły w ciemnościach zapomnienia. Czuł jak klimat gęstnieje.

Przypominał sobie, kiedy przyszedł na pierwszą nockę. Minął kolegę z dziennej zmiany, który nie zamienił z nim ani słowa. Zwiesił tylko głowę i wyszedł szybko z pomieszczenia socjalnego, nie spojrzawszy na chłopaka. Burknął coś niezrozumiale pod

nosem i już go nie było.

Młody ochroniarz kompletnie nie wiedział, za co się brać. Miał tylko siedzieć w tym pokoju dwanaście godzin i przejść się po hotelu dwa razy w nocy. Na co zwracać uwagę, co robić w razie włamania? Czy dzwonić na policje, czy do szefa - tego nikt mu nie powiedział.

Ubrał uniform i usiadł na niewygodnym krześle. Włączył radio, nastawił częstotliwość na ulubioną stację i założył nogę na nogę. Nuda nadeszła zaraz po tym, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie w tej pozycji przyjdzie mu spędzić długie godziny nocnego czuwania.

Gdy zapadł zmrok, ochroniarz postanowił udać się na obchód. Nikt go nie poinformował, na co ma zwracać szczególną uwagę, więc wykazał się inwencją, samodzielnie wyznaczając sobie drogę patrolu. Ubrał ciepłą kurtkę i zaopatrzył się w odpowiedni sprzęt. Jedną ręką trzymał pałkę teleskopową, a w drugiej latarkę. Otworzył drzwi i ruszył w mrok.

Niedojdo życiowa, nawet nie potrafisz znaleźć sobie kobiety. Po co ty żyjesz?

Lata mijały, ochroniarz polubił swoją pracę. Kochał samotność i ciszę. Uwielbiał rozmyślać, błąkając się bez celu pustymi korytarzami. Jego myśli były mroczne, nie spodobałyby się innym ludziom. Zwiedzał w nich odległe krainy zamieszkane przez obcych. Wymyślał własne światy, w których mógł być jednym ze współplemieńców, szanowanym wojownikiem, królem lub prezydentem wielkiego państwa. Składał ofiary z młodych kobiet dla potężnych bogów, którzy w nagrodę obsypywali go darami. Spotykał anioły i demony.

Po pewnym czasie zaczął spisywać swoje fantazje na kartkach i tworzyć wymyślne opowiadania. Sterta zapisanych stron rosła, tak jak i wyobraźnia nocnego stróża.

To właśnie wtedy, unosząc się na falach nocnej ciszy, usłyszał cichy oddech śpiącego budynku. Przez kilka pierwszych dni jedynie nasłuchiwał i analizował dziwne zjawisko.

Możliwość popadnięcia w obłęd była duża, więc mężczyzna bardzo krytycznie podchodził do halucynacji słuchowych. Uważał, że to atmosfera starego budynku tak wpłynęła na niego, że zdaje mu się słyszeć dziwny, miarowy oddech.

Zmienił zdanie, gdy pewnej nocy zdarzył się incydent. Bezpańskie psy wdarły się przez piwnice do obiektu, robiąc straszliwy rumor. Biegał za nimi kilkadziesiąt minut, ostatecznie pozbywając się ich z budynku. Zwierzęta dziwnie się zachowywały, gdy tylko go zobaczyły. Zamiast reagować agresją, warczeć i atakować, zaczęły skomleć przerażająco. Jeden padł bez życia, a pozostałe rzuciły się do ucieczki.

Znacząc swój odwrót odchodami i pianą, sfora zniknęła, by nigdy więcej się nie pojawić. Natomiast ochroniarz usłyszał zmianę w hotelowym oddechu, słyszalnym na granicy ciszy.

Zdał sobie w tym momencie sprawę, że budynek żyje. Od tego momentu mężczyzna i budynek nawiązali cienką nić porozumienia.

***

Stróż usłyszał nienaturalny dźwięk. Coś potoczyło się po płytkach korytarza na pierwszym piętrze. Mężczyzna od razu zlokalizował miejsce hałasu. Lata praktyki, setki godzin wsłuchiwania się w obiekt nie poszły na marne.

Ruszył w kierunku schodów. Przełączył moc latarki na najmocniejszy promień i odpiął kaburę z paralizatorem. Jedynymi intruzami mogły być jedynie dzikie zwierzęta. To właśnie one, szukając pożywienia, zapuszczały się na przeklęty teren.

— Spokojnie, kolego — powiedział ochroniarz. — Już się tym zajmuję. Możesz iść spać.

Wszedł na piętro i rozejrzał się uważnie dookoła. Tonące w mroku korytarze przywitały go znajomą pustką. Ruszył w prawo, omiatając zimnym światłem niknące w mroku przejścia.

Budynek zbudowano w kształcie litery „C". Główny hol był umieszczony w centralnej części. Od niego rozwidlały się w dwie strony wstęgi korytarzy. Ochroniarz, ruszając na obchód, musiał wybrać jeden z kierunków, dojść do końca i wrócić tą samą drogą by rozejrzeć się po drugiej stronie hotelu.

Kroki i śmiechy zakłóciły ciszę. Ktoś biegł korytarzem piętro wyżej. Na dole kobiecy śmiech odbijał się echem od ścian.

Intruzi.

Ochroniarz przestraszył się nie na żarty. Budynek od dawna dawał mu do zrozumienia, że coś jest nie tak. Ordynarne inwektywy były ostrzeżeniem. Miał działać. Inaczej dojdzie do tragedii i ciszę błogiej samotności zburzy najazd służb mających za zadanie chronić i bronić obywateli.

Nagle odgłos rozbitego szkła rozdarł ciszę. Na drugim piętrze ktoś roztrzaskał okno. Ochroniarz zawrócił na schody i ruszył biegiem do góry.

Zabij się, zabij się, zabij...

Budynek stawał się agresywny. Przeskakujący po dwa stopnie ochroniarz usłyszał basowy odgłos burczenia starych rur kanalizacyjnych. Coś walnęło na parterze. Drzwi huknęły na tyłach.

Sytuacja zaczynała wymykać się spod kontroli. Jeszcze chwila i wściekłość „Umarlaka" przerodzi się w krwawą furię.

Mężczyzna wbiegł na drugie piętro. Od razu zobaczył zbite okno i snop księżycowego światła wlewający się przez dziurę po szybie. Poza tym w pomieszczeniu było pusto. Podszedł bliżej okna i zamarł.

Świeża, mokra plama tuż obok rozsypanego szkła powoli wysychała na brudnej podłodze. Pochylił się i przyświecił. Gęsta ciecz miała szkarłatną poświatę. Patrząc na krew, zrozumiał, że sprawy zaszły za daleko i musi niezwłocznie skontaktować się ze swoim szefem.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, szukając ciała lub rannego. Nie było śladów walki. Tylko szkarłatna plama pośród cichej nocy.

Nagle przerażający kobiecy krzyk doszedł go z dolnego piętra. Stróż ruszył pędem w tamtą stronę. Wydawało mu się, że gdzieś obok mignęła mu jakaś postać. Odwrócił się błyskawicznie – NIC. Nikogo, a mógłby przysiąc, że dostrzegł kogoś w ciemności.

Budynek szalał, wyjąc przeciągami z otwieranych i zamykanych okien. Jękiem nienaoliwionych zawiasów uderzających o framugę drzwi. Bębnieniem w kuchni. Gdzieś trzeszczały łamane deski parkietu.

Gdy tylko ochroniarz postawił nogę na parterze, całe szaleństwo skończyło się w jednej sekundzie. Zapadła głucha cisza. Absolutna, odcinająca wszystkie odgłosy miasta, wygłuszająca oddech i szum krążącej w żyłach krwi.

Stróż stanął bez ruchu, skulił się w oczekiwaniu na to, co za chwilę miało nadejść. Pisk pojawił się nagle, przybierając na sile. Gdy stał się nie do wytrzymania, mężczyzna zakrył dłońmi uszy, a na jego twarzy wykwitł grymas. Czuł, że zaraz ogłuchnie, a jeszcze chwila i osunie się w szaleństwo. Kakofonii grozy dopełniały potępieńcze wrzaski konających ludzi, płacz i obłąkańczy śmiech. Ryk rozrywanych żelbetowych konstrukcji ukrytych głęboko pod fundamentami hotelu, zgrzyty i skrzypienie demolowanych pokoi, odgłosy pękających rur kanalizacyjnych.

Nocny stróż padł na kolana i ukrył głowę w ramionach. Poczuł jak zwiększa się ciśnienie i niewidzialna prasa hydrauliczna zaczyna przyginać go do ziemi. Nabrał powietrza i wrzasnął z bólu i trwogi. Krzyk jego był długim, bolesnym skowytem nieumierającego

zwierzęcia, katowanego przez swego ukochanego pana.

Odgłosy zagłady osiągnęły apogeum i w kulminacyjnym punkcie czas stanął w miejscu, a cały budynek podniósł się o kilka centymetrów, by ułamek sekundy później uderzyć z całym impetem o ziemię.

Huk był straszliwy, szyby posypały się ze wszystkich okien, drewno w parkietach wystrzeliło, zamieniając pokoje w ruinę. Rury poprzebijały ściany niczym igły głowę Pinheada ze znanego filmu grozy „Hellraiser". Wstrząs był tak silny, że jego echa odnotowano nawet w dzielnicach na obrzeżach Perun. Świat zawirował i zgasł, pogrążając wszystko w błogim niebycie wszechogarniającej pustki zapomnienia.

Ochroniarz ocknął się. Grand Hotel spał już spokojnie, zapomniawszy o chaosie, który wywołał jeszcze kilkanaście minut temu. Nie zwracając uwagi na otaczający go świat, pogrążył się w eterycznym świecie sennych marzeń.

Mężczyzna powoli wstał, otrzepując się z pyłu i kurzu. Świecąc latarką we wszystkich kierunkach, rozglądał się uważnie. Wszystko było jak zawsze: brak wybitych okien, zniszczonych parkietów, pogorzeliska. Budynek wrócił do swojej spokojnej entrofii, jakby nigdy nic się nie wydarzyło.

***

Od południa wszystkie media grzmiały tylko jedną informacją. Dziś tematem nadrzędnym była tragedia w jednej z zachodnich aglomeracji, leżącej niedaleko Jeleniej Góry.

Nie proszące się o rozgłos miasto mgły zostało najechane przez hordę pismaków wietrzących sensacje. Zaraz za nimi pojawiły się nowe media. Influencerzy, internetowi strażnicy moralności o przegniłych sumieniach szumnie zwani jutuberami. Wszelakiej maści miernoty chcące fejmu i atencji. Zjawił się nawet mesjasz z kanapy, bóg spiskowych teorii Artur, wraz ze swoim przyjacielem narodowym jasnowidzem. Widziano także internetowego śmieszka o kolorowych włosach z kolegą jedzącym masło.

Wszyscy ci internetowi strażnicy moralności, komentujący naszą rzeczywistość, ujadali jeden przez drugiego, nagrywając swoje materiały tuż przed odgrodzonym taśmą policyjną starym Grand Hotelem.

– Grupa znanych i rozpoznawalnych twórców internetowych zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach w starym postkomunistycznym hotelu w mieście Perun. Ze znanych nam informacji wiemy, że młodzież chciała nagrać filmiki o zjawiskach paranormalnych dziejących się w tym budynku. Policja bada sprawę, a my będziemy trzymać

rękę na pulsie – mówiła Barbara Strzebrzeszyńska-Ruchalik. Reporterka zdawała szybką relację na żywo.

– Tak właśnie kończą się zabawy rozwydrzonej bogatej młodzieży. Gdzie byli rodzice, gdzie wychowanie w tradycjach i pokorze? Brak wiary i atak na kościół jest tego przyczyną. To przez szatana tkwiącego w tych wszystkich internetach skusił dzieci. Brak Boga i spójnej rodziny, chora moda mniejszości seksualnych, którzy nigdy nie byli i nie są nam równi. Nam, prawdziwym Polakom – czerwony na twarzy, spasiony klecha wrzeszczał do mikrofonu w ręku dziennikarza.

– Jest nie niedziela, ale co tu się odpierdziela? Dziś nietypowo nadaję wraz z moim najwspanialszym, jedynym, serdecznym, najmądrzejszym, ukochanym przez wszystkich Jarkiem Jarkowskim, największym i najskuteczniejszym jasnowidzem naszego kraju. Nie zapomnijcie dać lajka i komentarz, bo jak wiecie algorytm mnie szkaluje i ucina mi zasięgi. Także nie zapomnijmy o zdjęciu addblocka, byście dali mi możliwość zarobić, bo przyjechaliśmy właśnie z moim przyjacielem tu - do cichego prowincjonalnego miasteczka na zachodzie polski masę kilometrów, a to kosztuje. Po co się pytacie? Odpowiem, ale najpierw proszę o polecanie mnie w innych mediach i oglądanie mojego instagrama oraz fejsbuka – sapał gwiazdor spiskowych teorii, który w zielonkawej poświacie tłumaczył ponad półmilionowej widowni świat od innej perspektywy.

– Jak wiemy z nieoficjalnych źródeł, policja nie znalazła żadnego z zaginionych. Liczne krwawe ślady świadczą o tym, że „Drużyna" – jak nazywano jutuberów celebrytów, próbowała uciec z budynku, gdy zorientowali się o zagrożeniu. Niestety tajemnicze nocne wydarzenia doprowadziły do tragicznego końca. Czy kiedykolwiek prawda wyjdzie na jaw? Czy zagadkowe zniknięcie trzech młodych mężczyzn i jednej dziewczyny zostanie rozwiązana? Jesteśmy za bieżąco, zostańcie z nami. – Trzyliterowa stacja wykupiona przez wielkiego brata zza oceanu rzeczowo przekazywała informacje.

– Wina jest bezsprzeczna. To były premier Tusk wraz z niemieckimi wichrzycielami. To on doprowadził do tragedii. Ileż łez wyleją matki tych zaginionych, i nie bójmy się powiedzieć – martwych już dzieci. Pomyśleć tylko, że gdyby nie nasz jedyny ukochany, wybrany przez lud i Boga, miłośnik zwierząt, skromny, mieszkający samotnie z kotem na Żoliborzu ojciec narodu, mielibyśmy o wiele więcej podobnych tragedii. Dlatego też rząd rozważa wprowadzenie podatku od zjawisk paranormalnych, a minister sprawiedliwości zapowiedział szybkie schwytanie sprawców tej straszliwej zbrodni.– Reżimowa telewizja prała mózgi swoim wyznawcom niezależnie od sytuacji.

– Grand Hotel, nawiedzony budynek w samym centrum tajemniczego i owianego złą sławą Perun, jest własnością amerykańskiej korporacji. Po nieudanej próbie odbudowy zaniedbanej inwestycji, korporacja spisała swoją własność na straty. Jak wiemy, w wyniku nieznanych czynników, w hotelu zaginęło kilku pracowników firmy oraz pracownik ochrony, zatrudniony na nocną zmianę.

Podobno od tego feralnego czasu można dostrzec ducha nieszczęsnego ochroniarza, który każdej nocy robi obchód po opuszczonym budynku.

Legenda głosiła, że nocny stróż opisywał wszystkie tajemnicze rzeczy dziejące się w budynku, odrażające rytuały i spotkania obcych przybyszów z innych wymiarów. Na śmiałków, którzy odważyliby się odnaleźć zagubione zapiski, czekała sowita nagroda ufundowana przez fanów teorii spiskowych. Jak się dowiedzieliśmy od znajomych zagubionych nastolatków, to właśnie ta legenda skłoniła ekipę do zwiedzenia Grand Hotelu nocą. Dla kanału „Nienazwane" mówił Robert Asz.

Medialna burza trwała do wieczora. Policja zaplombowała drzwi i odjechała, nic nie ustalając. Mieszkańcy sami ustalili wersje wydarzeń: młodocianych poszukiwaczy przygód połknął „Umarlak". Stali się ofiarami, częścią budynku. Ich krew i ciało zostały pożywieniem dla starożytnej mocy uśpionej w opuszczonych murach.

Pozostawiony sam sobie budynek chrapał spokojnie otulony czernią nocy i mgłą, a nocny stróż jak zwykle rozpoczynał swój pierwszy obchód. Wsłuchując się w spokojny oddech śniącego budynku, snuł fantastyczne opowieści we wnętrzu swego umysłu, by potem, nad ranem, spisać je wszystkie na papier.

Przechodząc tunelem technicznym, spostrzegł na ścianie nowe graffiti. Zastygłe w przerażeniu twarze trzech młodzieńców i jednej dziewczyny pojawiły się tuż obok malowidła przedstawiającego obcokrajowców, którzy próbowali wycenić koszty odbudowy hotelu kilkadziesiąt lat temu oraz samotnego ochroniarza przyświecającego sobie latarką.

Patrolujący ciemne korytarze mężczyzna jak co noc przystanął przy portrecie stróża i przyglądał się mu uważnie. Podświadomie wiedział, że zna tę smutną twarz. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie już ją widział i kim był ten młody chłopak z brzydką blizną na twarzy.

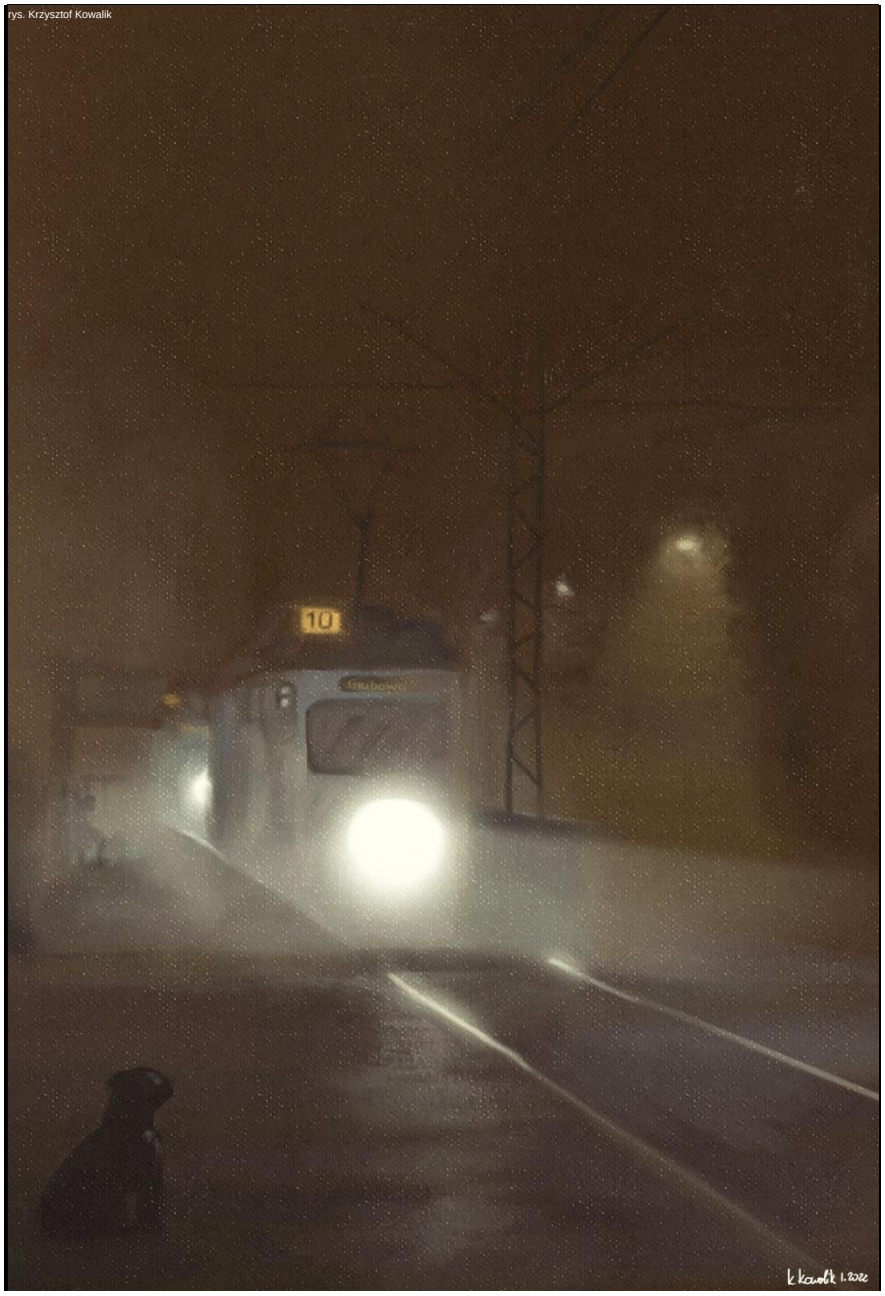

PIES WE MGLE

Piotr Ander

Mgliło od ponad dwóch tygodni. Żadna, nawet najseksowniejsza i odziana przez najlepszą firmę odzieżową pogodynka nie potrafiła wyjaśnić przyczyn zjawiska. Blady,

mleczny opar zamazywał kontury budynków i gęstniał na rogach ulic. Wisiał ponad głowami przechodniów, tulił w chłodnych, wilgotnych objęciach, zaglądał hipnotyzująco w oczy próbujące odnaleźć kierunek przez niewyraźną plątaninę miejskich ścieżek. Zamglony Wrocław w jakiś sposób przypominał nieboszczyka – blady i nieobecny twór nie z tego już świata.

Wiesiek przedzierał się przez wszechobecną biel. Brodził w niej jak mickiewiczowska łódka w zieloności akermańskich stepów, jak postać we śnie, a sny lubił. Podobała mu się ich nierealność, przypominała stan alkoholowego upojenia, kiedy wszystko płynie nie wiadomo skąd i znika nie wiadomo gdzie, a samotny wędrowiec dryfuje przez oniryczne krajobrazy wpatrując się w nie niczego nie rozumiejącym, błogim wzrokiem.

Zanim nastał czas mgły Wiesiek kończył zmianę w szpitalu przy ulicy Fieldorfa, gdzie pracował jako pielęgniarz, wychodził na przystanek autobusowy na Kosmonautów, jechał trójką albo dziesiątką na Grabową, wstępował do małego, obskurnego sklepiku o nazwie „Gucio" i kupował pół litra oraz „małpkę" Wyborowej. „Małpką" nazywano dwieście gram wódki w niewielkiej, płaskiej butelce. Wiesiek zabierał zakupy, szedł na przystanek tramwajowy, stojąc za wiatą szybko wlewał w siebie zawartość „małpki" (starannie dzieląc konsumpcję na trzy tury po trzy łyki), wchodził pod wiatę, siadał na końcu ławki (zawsze na samym końcu z lewej strony, nawet jeśli miał całą długość ławki do dyspozycji), zamykał się w sobie i delektował swoim stanem. Miał wrażenie, że w jego głowie poruszają się niespiesznie ogromne, prehistoryczne, łagodne stwory. Wiesiek dobry, myślał. Wiesiek zrobiony. Wiesiek fajnie miękki i niedbale sflaczały.

W końcu przyjeżdżał tramwaj i wiózł Wieśka dalej przez Kosmonautów, potem Lotniczą, w kierunku Kwiskiej, gdzie mężczyzna wysiadał, po czym szedł na ulicę Na Ostatnim Groszu. Mieszkał tam, na najwyższym piętrze jednej z kamienic. W drodze powrotnej Wiesiek stawał się coraz bardziej „Wieśkiem wymiętoszonym" i „Wieśkiem niedopitym". W domu otwierał pół litra i kieliszek po kieliszku wracał do formy; stawał się prehistorycznym gigantem w spokojnej toni.

Kiedy przyszła mgła wieśkowy rozkład dnia wyglądał mniej więcej tak samo jak przedtem, ale samo picie zyskało głębszy sens. Mgła ukrywała Wieśka, kiedy stał za wiatą z „małpką" w dłoni, zdawała się wiedzieć dlaczego pije, chociaż on sam nigdy nie odgadł skąd w nim ten nieodparty, wewnętrzny imperatyw. Mgła była dla Wieśka dobra i wyrozumiała, w przeciwieństwie do ludzi, którzy pojawiali się niekiedy na przystanku i obrzucali go pełnymi wzgardy spojrzeniami, z których łatwo mógł wyczytać co o nim

myślą. Mgła nigdy nie nazwałaby Wieśka żulem albo moczymordą, gdyby oczywiście była żywa i mogła kogokolwiek w jakikolwiek sposób nazywać.

A może ona jest żywa? – wpadło mu nagle do głowy w piątkowe popołudnie, kiedy zmierzał do sklepiku. Ciekawe dlaczego przyszło mu to do głowy? Zastanawiał się nad tym bezowocnie, do momentu, kiedy zatrzymał się przed wejściem.

„GUCIO"

– przedstawił się sklepik szyldem umieszczonym nad drzwiami. Nazwę wymalowano coraz bardziej wyblakłymi brązowymi literami na tylko trochę mniej brązowym tle, przez co stała się ledwo widoczna. Nie miało jednak znaczenia jak sklepik się nazywa, bo dużo ważniejsze było co w nim sprzedawano. „Gucio" nie musiał się właściwie Wieśkowi przedstawiać – od dawna się znali. Po tym długim czasie, być może dlatego, że sklepik nazwano ludzkim imieniem, funkcjonował on w świadomości mężczyzny bardziej jako personifikacja żywej istoty, niż miejsce. Wiesiek postrzegał „Gucia" jako obiekt, z którym łączy go pewnego rodzaju relacja – pomimo, że trwała już długo, była szorstka, zdawkowa i nacechowana niedookreślonym, egzystencjalnym cierpieniem. Gdyby Wiesiek umiał opisać swoją więź z „Guciem" za pomocą porównania do dotyku, na przykład, stwierdziłby, że nie ma ona nic wspólnego z przyjaznym uściskiem ciepłej dłoni, lecz jest jak krótki, bolesny kontakt z rolką papieru ściernego, który ktoś przesunął po nagiej skórze.

Ale Wiesiek nie miał talentu do opisów. Po prostu nie lubił „Gucia" i już. Mimo to był na „Gucia" skazany, ponieważ zawsze po pracy musiał natychmiast się napić.

Wszedł do środka. Miejsca było mało, ale trudno oczekiwać przestronności od wnętrza budy wielkości połowy kontenera portowego, wypełnionej w dwóch trzecich skrzynkami, butelkami, puszkami i kartonami. Za krótką ladą, na tle rzucającej mdlące refleksy światła (tak właśnie błyszczy plama rzygów w blasku ulicznej latarni) panoramy ustawionych na półkach butelek, stała Baba. Była Babą, chociaż mogła mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. Kwadratowa, zwalista sylwetka, gadzi wzrok i pozbawiona krztyny uroku gargantuiczna gęba, która niemo przeklinała Wieśka, „Gucia" i cały ten zafajdany świat. Możesz wielbić wszystkie kobiety świata, ale do Baby zbliżać się nie chcesz. Chyba, że musisz.

Wiesiek musiał.

Baba łypnęła spode łba. Pijak! – rzuciły jej wodniste oczy, jakby ktoś chlasnął Wieśka papierem ściernym przez twarz.

– Tssozwykle? – upewniła się obojętnym tonem.

Wiesiek zerknął ku drzwiom, za którymi cierpliwie oczekiwała zbawcza mgła.

– Tssozwykle?! – ponagliła już nieco mniej obojętnie Baba.

Wiesiek spojrzał na jej korpus odziany w coś tam, co mogło być tanią bluzką z hipermarketu albo kiecką z lumpeksu. Spojrzeć w oczy Baby się nie odważył.

– Ta… – bąknął.

Stuk stuczek! Na ladzie pojawiły się duża i mała butelka.

– Szydzieściosiem! – zaszeleścił kategorycznie otwór gębowy Baby.

Wiesiek położył dwie dwudziestki na ladzie. Baba błyskawicznie zgarnęła je do kasy i położyła przed Wieśkiem dwuzłotową monetę. Wiesiek wpatrywał się w nią przez chwilę. Dwuzłotówka wydała mu się przerażająco samotna i smutna w mdłym blasku przyczepionej do sufitu jarzeniówki. Wzdrygnął się bezwiednie, zabrał monetę i nieopatrznie podniósł wzrok na wysokość oczu Baby, a wtedy smagnęła go jeszcze jednym ściernym spojrzeniem. Ochlapus!

Włożył zakupy do reklamówki i wyszedł. Mgła objęła go pocieszająco. Doszedł do przystanku i otworzył „małpkę". Po dwóch turach poczuł się lepiej. Dużo lepiej. Właśnie przymierzał się do trzeciej tury, kiedy z mgły wyłonił się pies – niepozorny, głupawo merdający ogonem, czarny kundelek o dość krótkiej sierści, krótkim pysku i z nieodzowną, naiwną, psią radością w błyszczących plamkami światła, czarnych ślepkach wielkości guzików do marynarki.

– Co tu chciałeś, malutki? – zapytał retorycznie Wiesiek, wcale nie ciekaw cóż takiego „malutki" od niego chce, po czym na raz, dwa, trzy wlał w gardło resztę wódki. Lewą ręką otarł usta i spojrzał na pustą butelkę. Zamierzał wyrzucić ją do pojemnika na śmieci obok, kiedy z czarnych ślepek zniknęła psia prostoduszność i pies uśmiechnął się do niego.

Butelka wypadła Wieśkowi z ręki. W mgle rozległ się trzask pękającego szkła.

Pies uśmiechnął się. Właśnie tak. Nie „obnażył kły" czy „pokazał zęby", ale „uśmiechnął się". Do niego – Wieśka Bortniczuka, pielęgniarza ze szpitala, od kilku lat powoli, lecz nieubłaganie staczającego się po równi pochyłej nałogu alkoholowego. Był to najbardziej przerażający uśmiech, jaki Wiesiek kiedykolwiek widział.

Zamiast zębów pysk zwierzęcia wypełniały wbite w dziąsła zardzewiałe gwoździe, kawałki drutu, fragmenty żyletek oraz odłamki szkła. Szkarłatne strużki juchy zakrzepły na ostrych krawędziach, których widok nieodmiennie kojarzył się z rozcinaną skórą, nagłym, przeszywającym bólem, obrzękiem, zakażeniem, ropą, zgnilizną, gangreną, amputacją i niemym wrzaskiem krwistych rozbryzgów.

Po kilku sekundach do mężczyzny dotarło, że coś takiego jest niemożliwe. Jednak pies, czy czymkolwiek owo straszne stworzenie było, uważał widać inaczej, ponieważ z jego

gardła dobył się dźwięk. Początkowe ciche skomlenie zmieniało się szybko w jakiś inny, trudny do określenia odgłos, znacznie niższy, podobny do warczenia, ale bardziej masywny, głębszy, mroczniejszy. O wiele mroczniejszy. Jeśli to było warczenie, to warzenie z dna piekieł. Szczerząc makabryczny pysk pies zbliżył się do Wieśka. I wcale nie był już taki mały, jak wydawało się przed chwilą. Wiesiek był wysokim chudzielcem, a pies, stojąc przecież na czterech łapach, sięgał mu wzrostem do ud. Blask w jego ślepiach nabrał barwy płomienistej czerwieni. Mężczyzna cofnął się o krok i jego plecy napotkały opór gładkiej powierzchni. Opierał się o wiatę przystankową, a przed nim znajdowała się koszmarna bestia, jakiś upiorny pies-bies, który najwyraźniej miał zamiar skosztowania bezbronnego, zdezynfekowanego wódką Wyborową, choć nie najświeższego, chudego wieśkowego mięsa.

– To… niemożliwe – wyszeptał mężczyzna zbielałymi ze zgrozy wargami, a wtedy pies… zniknął.

Po prostu jakby rozpłynął się w bladej poświacie. Wiesiek z cichym „gulk!" przełknął ślinę.

– Muszę przestać pić – wychrypiał. Spojrzał na półlitrówkę w torbie. Zacisnął zęby i chwycił szyjkę butelki. Przez sekundę lub dwie chciał ją cisnąć do kosza, roztrzaskać i nigdy więcej nie wziąć alkoholu do ust. Jutro, pomyślał. Od jutra nie piję.

Tego wieczoru wódka smakowała mu jak nigdy. Po każdym kieliszku przyglądał się ile zostało i powtarzał, że coraz mniej dzieli go od trzeźwości. I że to dobrze, bo przecież najwyższy czas wziąć się za siebie. Potem nalewał, wypijał, patrzył ile zostało i powtarzał to, co już powiedział. Ale im bliżej było dna, tym bardziej docierało do niego, że nie przestanie. Na pewno nie jutro. Nie ma szans. Nie rzucasz dziewczyny, z którą miałeś właśnie najlepszy seks w życiu.

– Dobra – zawyrokował, kiedy w butelce zostało już tylko pół litra powietrza. – Za tydzień rzucam picie.

Znów był pradawnym olbrzymem kołysanym w głębinach pradawnego oceanu. Na granicy snu i pijanej jawy wydało mu się, że bezkresna toń to gęste opary mgły. Zasnął uspokojony.

Kiedy otworzył oczy otaczała go ołowiana ciemność. Wydawała się miażdżyć czaszkę, a potworny warkot wydobywał się z niej i mroził krew w żyłach. Nagle pojawiło się światło. Dwa światła. W ich blasku przerażony mężczyzna ujrzał kształt wskakujący mu na piersi, a potem wielki, trójkątny łeb i wypełnioną zakrwawionym żelastwem paszczę, która rozwarła się tuż przy jego twarzy. Gęste krople kapały na nieogolone policzki, a nozdrza Wieśka wypełnił wionący z gardzieli bestii odór. Znał zapach gnijącego mięsa, ale ten był

inny, również dobrze mu znany, chociaż nigdy wcześniej nie poczuł go tak intensywnie. To nie był swąd zepsutego fileta z kurczaka, z którego kiedyś chciał zrobić kotlety, ale wpadł w ciąg alkoholowy i zupełnie o nim zapomniał. Tak cuchnęło mięso martwych ludzi.

Ryk bestii doprowadzał Wieśka do obłędu, podobnie jak widok jej straszliwego pyska. Wiedział, że za chwilę zostanie rozkawałkowany, poszarpany i poszatkowany; zamieniony w bezkształtną pulpę mięsa, flaków, kości i płynów ustrojowych, która bezpowrotnie zniknie w otchłani potwornego przełyku. Mógł tylko modlić się, żeby śmierć nastąpiła jak najszybciej, bo im więcej będzie śmierci, tym mniej zostanie bólu. Zamiast tego jednak zaczął wrzeszczeć. Wrzeszczał tak długo, aż usłyszał miarowy łomot. Wtedy zdał sobie sprawę, że już od pewnego czasu nie słyszy ryku diabelskiego psa, a jedynie swoje własne, ochrypłe już wycie. Poza tym ktoś z całej siły tłukł pięścią w drzwi jego mieszkania i przeklinał. Ktoś inny groził wezwaniem policji. Wiesiek nie miał siły ani odwagi otworzyć i przepraszać sąsiadów, których głosy rozpoznał. Cóż takiego mógłby im powiedzieć? Że najprawdopodobniej cierpi na halucynacje? Chyba niewiele by ich to obeszło. Wreszcie głosy na korytarzu umilkły. Pewnie sąsiedzi będą mu robić awantury, kiedy tylko spotkają na korytarzu lub na podwórku.

Nie był to jednak koniec strachów tej nocy. Ledwie bowiem wyczerpanemu Wieśkowi udało się przymknąć powieki usłyszał charakterystyczne, szybkie psie oddechy. Zaraz potem znów coś dużego i ciężkiego wskoczyło na łóżko.

– Niebedewrzeszczał- niebędewrzeszczał- niebedewrze…ał… nie bede… – powtarzał szeptem, skulony i drżący na całym ciele.

Nie wrzeszczał. Nawet wtedy, kiedy ogromny cień zasłonił mu oczy i strumień psiego moczu wystrzelił mu prosto w twarz.

– Niebede- niebedę- niebede- niebedę – powtarzał jak zepsuta płyta Wiesiek, a krople spływały na jego poruszające się bezgłośnie wargi i brodę.

Świt zastał go odrętwiałego jakby już dopadło go *rigor mortis*. Wiesiek szklistym wzrokiem wpatrywał się w ziemistoszare, poranne ściany. Wilgotna pościel lepiła się do skóry wstrętnym dotykiem. To niemożliwe, pomyślał. Nie ma żadnego straszliwego psa. To tylko ja. Zlałem się pod siebie.

Ale, w jakiś niewytłumaczalny sposób, wbrew regułom fizyki, pies istniał. Wiesiek był tego pewien. Istniał na długo przed wczorajszym dniem. Przez całe lata ukrywał się w umyśle pielęgniarza, karmił się torturą skacowanych poranków i zatrutych pijacką euforią wieczorów. Tyle, że we wieśkowym piciu już od dawna nie było euforii, pozostała jedynie bolesna konieczność daremnej ucieczki przed cierpieniem. Straszliwy pies był symbolem i owocem zmarnowanej, stęchłej, sparszywiałej egzystencji, błędnego koła picia, kaca i znów

picia, żeby zabić kaca, który był skutkiem picia – koła, w którym Wiesiek obracał się od lat. I teraz ten pies, ten Cerber, który zmaterializował się, żeby…

Zawlec mnie do piekła, uzmysłowił sobie Wiesiek z rozpaczą.

Czuł, że wola zupełnie go opuściła. Nie miał jej nawet na tyle, żeby wstać i umyć się, a co dopiero pójść do pracy.

Zasnął, a kiedy obudził się kilka godzin później czuł się już nieco lepiej. Jednocześnie miał dziwaczne wrażenie jakby nadal spał, a całe jego dotychczasowe życie rozgrywało się przed jego oczami niczym amatorska tragifarsa. Ujrzał twarze rodziców, rówieśników, sąsiadów, znajomych, wreszcie żony i dzieci – twarze ludzi, których spotykał, znał, z którymi łączyły go głębsze lub choćby powierzchowne relacje; na jego oczach ich ludzkie rysy rozmywały się, niknęły w oddali. Wiesiek wpatrywał się w mgłę, w której się kryły i był pewien, że wrócą, że odzyska ich wszystkich, odzyska miłość i szacunek, które utracił. Mijały sekundy, potem minuty, a on wciąż patrzył z nadzieją w biały opar…

Wracali. Rozpoznawał ich, chociaż byli inni. Przerażający. Nie mieli ludzkich oczu, tylko płonące czerwienią ślepia oszalałych bestii, nie mieli ust, lecz bliźniacze, psie pyski. Wyłaniali się z mgły i szli w jego kierunku. Byli blisko, coraz bliżej, osaczali go…

Otworzył oczy i wyprostował się gwałtownie. Po chwili dotarło do niego, że śnił. Za oknem wstawał kolejny mglisty dzień. Gdyby Wiesiek miał opisać swój aktualny stan po całej nocy koszmarów, byłoby to coś pomiędzy „z krzyża zdjęty", a „śnięty jak ryba". Spojrzał na budzik. Za godzinę powinien być w pracy.

Wziął chłodny prysznic, co pomogło mu się nieco pozbierać. Według grafiku zajęć dziś czekała go praca w prosektorium. Ucieszył się – na tyle, na ile może się ucieszyć skacowany, niewyspany i znerwicowany człowiek w średnim wieku. Wolał zmiany w prosektorium niż na oddziałach, ponieważ zmarli zachowywali się tak spokojnie, jakby ich nie było.

– Hm – mruknął patrząc na swoją źle ogoloną gębę w lustrze, kiedy zreflektował się, że zmarłych rzeczywiście nie ma. Są tylko ciała, puste skorupy.

Machnął ręką. W końcu liczyło się to, że nieboszczyki są cicho i nie trzeba spod nich wynosić parujących basenów.

Wychodząc z mieszkania ściągnął ze stołu pustą butelkę po wódce. Wyrzucił ją ukradkiem do kontenera. Idąc przez zamglony pejzaż na przystanek tramwajowy zastanawiał się nad swoimi halucynacjami. Diaboliczny pies z zakrwawionymi drutami i połamanym żelastwem zamiast zębów? Płonące ślepia? Obsikiwanie twarzy?

– Naprawdę muszę przestać pić – obiecał sobie raz jeszcze. Który już? Setny? Tysięczny raczej, pomyślał.

Kiedy otwierał drzwi recepcji zgroza przeniknęła go jak porażenie prądem, usłyszał bowiem ciche skomlenie, a potem warknięcie. Zatrzymał się raptownie i nasłuchiwał.

– Rozmyślił się pan, panie Wiesławie? – zapytała jakaś kobieta. Wiesiek odwrócił się i rozpoznał siostrę oddziałową, którą czasem spoglądała na niego współczującym wzrokiem. Zapewne nie tylko ona domyślała się, że Wiesiek często przychodzi do pracy na kacu, ale dopóki wykonywał jako tako swoją robotę, nikt nie powiedział mu złego słowa.

– Czy jednak uznał pan, że dzisiaj można popracować? – dodała z uśmiechem. Przez kilka chwil Wiesiek miał wrażenie, że oddziałowa szydzi z niego, chociaż szczerze wątpił, żeby tak naprawdę było. Być może jednak posłałby jej spojrzenie spode łba, gdyby nie nagła myśl, że jeśli będzie patrzył na jej twarz (podejrzanie miłą i łagodną) choćby o sekundę za długo, rysy kobiety rozpłyną się, zasnują mgłą, z której wyłoni się masywny, pokryty smolistą sierścią, wielki, trójkątny łeb – niczym muśnięty światłem obojętnej gwiazdy mroczny zarys apokaliptycznej asteroidy, zmierzającej nieubłaganie ku Ziemi.

Skinął głową i szybko wszedł do środka.

Wychodząc ze szpitala, blisko dziesięć godzin później, myślał już tylko o tym, żeby się napić. Próbował opierać się przywołując w pamięci wizję potwornego psa, cały czas jednak zdesperowany i bezczelny głos, który Wiesiek nazwał Mendą, mówił do niego.

– Chłopie! Jaki pies?! – pytał racjonalnie Menda. – Napij się! Chociaż małpkę walnij. Poczujesz się lepiej. Za tydzień przestaniesz, a najlepiej za dwa tygodnie, na urodziny mamusi. To jest najlepsza data, żeby przestać. Mamusia, świeć Panie nad jej duszą, przez lata powtarzała ci, żebyś przestał pić. Prawda? A do tego czasu nie żałuj sobie, bo trzeba te dwa tygodnie jak najlepiej wykorzystać. Jak rzucać picie, to po ostrym piciu! Powinieneś nawalić się dzisiaj jak czołg! I jutro też!

Wiesiek miał ochotę się nawalić, ale bał się, że znów zobaczy psa-bestię.

– Chłopie! Jaki pies?! Przecież to głupie zwidy tylko. Każdemu może się coś takiego pokazać. No dobra, może nie każdemu, ale pomyśl tylko! Za dwa tygodnie przestaniesz, może na odwyk jakiś pójdziesz, chociaż na pewno sam doskonale dałbyś sobie z piciem radę. W każdym razie przestaniesz, będziesz trzeźwy jak niemowlę i żadnych halucynacji z piekielnymi psami więcej! A tymczasem…

Tymczasem Wiesiek wyszedł z pracy, wsiadł w trójkę i wszystko potoczyło się utartym torem: mgła, „Gucio”, Baba, ścierne spojrzenia, tssozwykle, stuk stuczek, szydzieśiosiem, powrót w mgłę…

Kiedy Wiesiek wyszedł z „Gucia” i ruszył w stronę przystanku tramwajowego, zatrzymał się po kilku krokach sparaliżowany podejrzeniem.

On tam jest! Ten skurwiel już na mnie czeka!

– To tylko halucynacje – przypomniał Menda, a Wiesiek znów mu uwierzył. Nie miał zresztą wyboru, przecież musiał wrócić do domu.

No to raz! Dwa! Trzy!

Ściskając w niedrżącej już dłoni butelkę po „małpce” z napięciem wlepiał wzrok we mgłę. Tym razem jednak pies się nie pojawił.

– Przecież mówiłem, że to halucynacje – pochwalił się Menda.

A potem przyjechał tramwaj i Wiesiek wrócił do domu. Schodami dotarł na czwarte, najwyższe piętro kamienicy. Nigdy nie było tu windy i jakoś żaden z mieszkańców za nią nie tęsknił, być może dlatego, że współczesne windy nie mają ani duszy, ani klasy, o marnych umiejętnościach ich konstruktorów nie wspominając. Kiedy Wiesiek przekręcał klucz w drzwiach, niczym piorun uderzyła go myśl, że pies nie zjawił się na przystanku, ponieważ… czeka na niego w mieszkaniu.

Tym razem nawet Menda nie odezwał się, jak zawsze zresztą, kiedy Wieśkowi przydałby się jakiś rozsądny, uspokajający, wewnętrzny głos. Menda nie nadawał się do uspokajania i dobrych rad, potrafił jedynie namawiać do picia. To właśnie czyniło go Mendą.

Wiesiek uchylił drzwi na szerokość głowy i zapuścił żurawia. Mieszkanie wydawało się milczące i puste. Wszedł do środka, starając się nie zakłócać ciszy najmniejszym nawet szelestem, co nie do końca się udało, ponieważ drzwi lekko skrzypnęły…

Znieruchomiał i wstrzymał oddech.

Nic się nie działo.

Ośmielony mężczyzna zamknął delikatnie drzwi, ostrożnie położył reklamówkę z wódką pod ścianą i powoli stawiając kroki przemieszczał się po mieszkaniu. Nasłuchiwał. Zaglądał. Wypatrywał. Mieszkanie Wieśka składało się z korytarza, kuchni, dość dużego pokoju, którego nigdy nie sprzątał i mniejszego pokoju, którego właściwie także nie sprzątał, a w którym spał. Poza tym były jeszcze ubikacja i łazienka, rzecz jasna nie sprzątane od dawna. Otwierał po kolei drzwi do każdego pomieszczenia. Za każdym razem, kiedy kładł rękę na klamce, serce biło mu jak oszalały budzik.

Pipipipipipipipipipi!!!

Ale psa-bestii nie było w kuchni, dużym pokoju, małym pokoju i łazience. W ubikacji także nie.

Uff!

Ulga była tak duża, że Wiesiek aż zapomniał o kieliszku. Wrócił na korytarz, wyjął flaszkę z plastikowej reklamówki, poszedł do sypialni, położył się w butach na łóżku, odkręcił kapsel i porządnie łyknął z gwinta. Skrzywił się, poczerwieniał na twarzy, zbladł i westchnął głęboko.

A wtedy rozległ się głuchy charkot i makabryczny, czarny kształt wyskoczył spod łóżka.

Przerażony człowiek wypuścił naczynie, które jednak nie rozbiło się w zetknięciu z podłogą; z przewróconego wylewał się ciurkiem alkohol. Wiesiek nie zwrócił na to uwagi, ponieważ w panice rzucił się do ucieczki. Zadziwiająco sprawnie, jak na jego kondycję, w dwóch susach znalazł się przy drzwiach. Poczuł ból na ramieniu, w miejscu gdzie dosięgnęły go pazury psa. Wypadł na korytarz i śmignął ku wyjściu. Usłyszał trzask i rumor. Odwrócił się. Wielki, czarny łeb wynurzał się spomiędzy resztek drzwi do mniejszego pokoju. Wiesiek nie zamierzał czekać na to, co będzie dalej. Błogosławił siebie w duchu za to, że nie zamknął drzwi wejściowych na klucz od wewnątrz, bo z pewnością nie zdążyłby otworzyć zamka. Wypadł z mieszkania, jednak diabelski pies był też diabelnie szybki. Wiesiek uchwycił wzrokiem ciemną, rozmazaną smugę i nagle bestia pojawiła się tuż obok, zbryzgany posoką, upiorny pysk, który rósł i rósł, przysłaniał ściany, kamienicę, cały świat…

Mężczyzna rzucił się na oślep, ku schodom. Pysk kłapnął głośno gdzieś bardzo blisko jego głowy. Wiesiek z impetem wpadł na poręcz, która ugięła się i złamała odsłaniając spiralę schodów otaczającą szare jądro kamiennej posadzki. Posadzka zbliżała się bardzo szybko, podczas gdy gdzieś tam, u góry, światem wstrząsał piekielny ryk.

Głuchy łoskot obwieścił nadejście ciemności.

Wiesiek nie wiedział gdzie jest, ani jak się tu znalazł.

– Hej! – zawołał. – Jest tam kto? Wypuśćcie mnie stąd!

Jeśli ciemność miała oblicze, było nieprzeniknione.

– Wypuśćcie mnie! Co mi zrobiliście?! Dlaczego nie mogę się ruszyć?

Jeśli miała usta, milczały.

Krzyczał, nie wiedział już jak długo. Godzinę? Dzień? Chyba powinien był już dawno ochrypnąć, mimo to krzyczał nadal.

Ale jeśli ciemność miała uszy, były całkowicie głuche.

Nagle otworzył się prostokąt światła, który rósł i pochłaniał mrok. Po chwili Wiesiek zobaczył sylwetki dwóch mężczyzn w białych fartuchach, Nie patrzyli jednak na niego, lecz gdzieś z tyłu, gdzie została ciemność.

– Znalazłeś czy nie? – niecierpliwił się wyższy. Niższy, korpulentny, uspokajająco machnął ręką. Gmerał gdzieś w okolicach głowy Wieśka. W końcu znalazł dużą butelkę spirytusu.

– Chyba pamiętam gdzie schowałem, nie?

– Myślałem, że znów szuflady pomyliłeś.

– Wtedy to nie ja chowałem, mówiłem ci już. Ja bym nie wiedział, gdzie spirytus chowam?! Masz to szkło?

Wyższy wyjął kieliszki z kieszeni.

– Popitka?

Wyższy pokazał butelkę coli wystającą z kieszeni fartucha. Niższy rozlał spirytus.

– To co? Za Wieśka!

– Za Wieśka!

Pochylili się nad ciałem.

– Niech ci ziemia lekką będzie, Wiesiek.

Spirytus popili colą. Wiesiek przyglądał się zszokowany.

– Józek! Mateusz! Co wy gadacie? Kurwa! Przecież ja żyję! Tylko nie mogę się ruszyć!

Nie zwracali na niego uwagi.

– Pomyśleć, że jeszcze w piątek mieliśmy zmianę razem – odezwał się wyższy. – Ale już było widać, że kiepsko z nim. Niby dawał radę, coś tam zrobił, ale snuł się jak cień. I bredził coś o mgle. Pytałem się go jaka mgła, Wiesiek? Ja żadnej mgły od dawna nie widziałem. A on, że mgła od tygodni i że w ogóle nie ustępuje ta mgła. Myślę, że już mu się w głowie mgliło. Co to alkohol robi z człowieka.

– No – zgodził się korpulentny. – A o psie ci opowiadał?

– O psie?

– Tak. Ale to kiedyś mi mówił, co najmniej ze dwa lata temu.

– Mi nie mówił.

Korpulentny pokiwał głową, dając w ten sposób do zrozumienia, że to oczywiste, że jego towarzysz nie zna historii o psie, bo nie każdy miał przywilej ją poznać. Odczekawszy chwilę zaczął opowiadać.

– Jak Wieśka zostawiła żona i zabrała dzieci, to coś tam próbował zmienić. Pić przestał, może miał nadzieję, że odzyska ich, nie wiem. Psa, szczeniaczka jakiegoś, przygarnął, żeby tak całkiem sam w domu nie siedzieć. I wiesz, że podobno znalazł go w jakiś mglisty wieczór na ulicy, kiedy na zakupy szedł? Tak mi przynajmniej mówił, że mgła wtedy

była. Do domu go wziął i karmę kupował. Ale wkrótce potem znowu w nałóg wpadł. Ten psiak młody był i coś mu tam kiedyś pogryzł czy coś, a Wiesiek akurat pijany w trzy dupy był, to w tym amoku się wkurzył i psa przez okno z czwartego piętra wyrzucił. Na dole ktoś zostawił jakieś rupiecie do zabrania przez śmieciarzy, ale niezabezpieczone były, bo odkryte tak leżały. Tamten pies na to spadł, poranił się, a jeszcze z czwartego piętra przecież spadł… – korpulentny pielęgniarz pokiwał głową w zadumie. – No i zdechł. Wiesiek chyba nawet po tym jak żona z dziećmi go zostawili nie miał takiego moralniaka. I tak miał dużo szczęścia, że nikt nie widział, bo wyrok jakiś pewnie by dostał. Chyba chciał się komuś zwierzyć, że ma poczucie winy po tym psie.

– Chyba tak – potwierdził po chwili namysłu wyższy i zerknął na zegarek. – Dobra, jeszcze po jednym szybkim i spadamy, bo trzeba dziś prosektorium umyć i zdezynfekować. Rano jakaś sekcja zwłok ma być.

Z kieliszkami w dłoniach pochylili się znów nad Wieśkiem.

– Niech ci będzie odpuszczone, Wiesiek. Nawet tamten pies.

A później, chociaż Wiesiek wrzeszczał, zaklinał, groził, przekonywał, że to głupie żarty i koledze się nie robi takich rzeczy i… i błagał o litość, oddali go ciemności.

Ciemność miała oczy, lecz wcale nie czarne. Kiedy się otworzyły, jaśniały wściekle jak dwa czerwone reflektory.

Ciemność miała kształt muskularnej, lśniącej, czarnej bestii, wielkiej jak wszechświat.

Ciemność nie miała ust, lecz potworną paszczę, pełną ostrych przedmiotów.

Ciemność nie zamierzała niczego odpuszczać. Nie znała litości.

Tęsknił za mgłą, lecz mgły już dawno nie było. Zastąpiła ją ciemność. Czuł jej cuchnący oddech. Krople krwawej, cuchnącej ciemności kapały na jego martwą twarz. Śmierć nie ochroni go przed bólem. Dla ciemności nigdy nie umarł. Zamierzała go dziurawić, rozszarpywać, miażdżyć, ćwiartować, rozrywać… przez całą wieczność.

— GRHRRRRR!!!

Z dedykacją dla Piotra Kratza. „Pies we mgle” jest historią opartą na jego pomyśle.

Dzięki, Piotrze.

ROSYJSKA RULETKA

Katarzyna Mika

Jak zwykle zaczął od bardzo dokładnego umycia rąk, koniecznie ciepłą wodą – do żadnej kobiety nie powinno się przychodzić z zimnymi łapskami. Milena wyglądała na nieco niespokojną, miał jednak nadzieję, że kilka ostrożnych pieszczot i miłych słówek załatwi sprawę. Nikt inny nie potrafił obchodzić się z nią tak dobrze, jak on.

Skórę miała naturalnie miękką i delikatną – żadna inna tak dalece nie odpowiadała jego upodobaniom, więc usadowiwszy się wygodnie, zaczął gładzić ją powoli i z czułością. Milena niedawno została matką, była zatem pełna ciepłego, słodkiego mleka, które stanowiło dodatkową zachętę. Chwilę później wszystko już potoczyło się naturalnym rytmem.

– Mirek! – Uporczywe nawoływanie nagle przerwało tę błogą chwilę. Zaklął pod nosem, ale nie zamierzał teraz przestawać, choć kroki i wołanie słychać było coraz bliżej.

– Dzięki, Milenka. – Niedługo później poklepał ją po zadzie, pospiesznie podciągając spodnie drugą ręką. – Byłaś dziś wspaniała!

– Mirek, do kurwy nędzy! – Ledwie uchylił się przed ciosem, gdy sąsiadka wpadła wreszcie do obory ze starą miotłą w rękach. – Jeszcze raz spuścisz mi się do mleka, pierdolony skurwysynu, a urwę ci jaja przy samej dupie!

***

Siedziała i uśmiechała się półgębkiem, nawet nie próbując ukryć znudzenia. Początkowo bawiły ją te rozmowy – lubiła patrzeć na zawstydzenie i niepewność, którą wywoływała jej obecność, z czasem jednak wszystko to stawało się coraz bardziej miałkie i nijakie. Znała już na pamięć wszystkie ścieżki, które mieli przed sobą ci nieszczęśnicy i doskonale wiedziała, że choć teraz wydają się podekscytowani i pełni nadziei, właśnie weszli na równię pochyłą prosto do piekła.

Ten był jednak inny. Wpatrywał się wyłącznie w podłogę, jakby szukał tam jakiejś zguby. Nie uraczył jej spojrzeniem, nawet kiedy uniosła się lekko w fotelu i ostentacyjnie zmieniła ułożenie długich, zgrabnych nóg. Nie spojrzał też na Faraona, choć ten odchrząknął, wskazując przybyszowi miejsce siedzące.

– Faraon – przedstawił się krótko gospodarz – a to moja, hm, nałożnica.

Skinął na dziewczynę, a ona przewróciła oczami, zniechęcona powtarzanym do znudzenia nieśmiesznym żartem.

– Kleopatra – dodała na wpół ironicznie, ponownie wykrzywiając usta w nieszczerym uśmiechu. – Banalne, ale skuteczne. Możesz mi mówić Kleo.

Nie odpowiedział i nadal na nią nie patrzył, przez co natychmiast się zirytowała. Nie była przyzwyczajona do tak bezczelnej ignorancji, nie spotkała dotąd mężczyzny, który nie poświęciłby jej choćby przelotnego spojrzenia. Wręcz przeciwnie – większość zwykle gapiła się z wywieszonym językiem jak cielęta w malowane wrota.

– Stefan – niechętnie przedstawił się przybysz. Na krześle usiadł tak powoli i ostrożnie, jakby było wyłożone rozżarzonymi węglami, a Faraon momentalnie podsunął mu zwyczajowy stosik papierów.

– No, to mów, czego ci trzeba, Stefan.

Mężczyzna dla odmiany utkwił wzrok w drobnym niby mrówki, nomen omen faraona, druku. Kleopatra znowu zmieniła pozycję, próbując zwrócić na siebie uwagę Stefana. Dziewczyna utkwiła w nim spojrzenie ciemnych oczu, śledząc nieznaczne drżenie dłoni.

– Słyszałem… – zająknął się, a potem odchrząknął – że możecie mi pomóc.

– Mamy tu niczym nieograniczoną ofertę. – Faraon nonszalancko rozparł się w fotelu, błyskając złotym Rolexem i posyłając klientowi szeroki uśmiech. – Spełnimy każde życzenie.

– Nie wstydź się – ponagliła nieco znudzonym tonem Kleopatra, przerzucając kaskadę włosów czarnych jak heban z jednego ramienia na drugie. – Nie takie rzeczy już słyszeliśmy.

Stefan, ze swoją pobladłą twarzą, niedoprasowaną marynarką i krzywo zapiętą koszulą, był jak puzzel z niewłaściwej układanki na siłę wciśnięty w przypadkowe miejsce. Kleo zaczynało ogarniać zniecierpliwienie, robiła się głodna i uciekała myślami w stronę kolacji, wymachując rytmicznie stopą obutą w ciemnoczerwoną szpilkę.

– Chcę się tego pozbyć – wyznał wreszcie, po raz pierwszy podnosząc wzrok na twarz Faraona. – Jak najszybciej.

Gospodarze wymienili spojrzenia. Dopiero teraz zaczęło się robić ciekawie.

– Wciąż nie powiedziałeś, co jest twoim, hm, problemem – podjął Faraon. – Moja droga Kleopatra chętnie weźmie cię na wycieczkę po naszym przybytku, prawda, kochanie? Zajmujemy się raczej spełnianiem marzeń, niż ich niszczeniem. Może zmienisz zdanie.

– Wiem doskonale, że prowadzicie podwójną działalność. – Stefan nagle jakby się ożywił, zerknął nawet przelotnie w stronę równie ożywionej Kleo, ogniskując na chwilę wzrok w jej okazałym dekolcie. – Najpierw obiecujecie spełnianie marzeń, dojąc klientów do ostatniego grosza tylko po to, żeby potem, gdy już nie mają czym płacić za luksusowe usługi, zaproponować rozwiązanie ostateczne. Nie krytykuję tego, szczególnie, że każdy wygrywa. Klienci, choć spłukani, kończą zadowoleni, a wy i tak wychodzicie na swoje. Ja nie chcę przechodzić całej tej drogi, jestem już zmęczony, chcę od razu przejść do sedna. Nie przejmujcie się pieniędzmi, zapłacę podwójnie, albo i potrójnie, jeśli trzeba.

Cisza się przedłużała . Faraon mrużył oczy niczym czający się na zdobycz kocur. Najwyraźniej sądził, że zdoła dostrzec oznaki oszustwa w twarzy rozmówcy, Stefan jednak znów spuścił wzrok i siedział bez ruchu jak porzucona szmaciana lalka. Kleo postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i już otwierała usta, by coś powiedzieć, kiedy w gabinecie na chwilę przygasło światło. Żarówki zamrugały kilkukrotnie i wszyscy odruchowo spojrzeli w górę, na pokaźny, ozdobny żyrandol. Zaraz potem Stefanowi wyrwało się stłumione przekleństwo.

– Rysiek chyba znowu przesadził z napięciem – mruknął jakby od niechcenia Faraon. – Zaraz się tym zajmę.

– Idź, ja tu wszystko załatwię – zaproponowała Kleo, lustrując spojrzeniem Stefana, który ni z tego, ni z owego założył nogę na nogę i przybrał zaskakująco nienaturalną pozycję.

– No, idź – ponaglała nieprzekonanego Faraona. – Mariusz, kurwa, chce mi się jeść, nie będę tu siedziała do jutra.

Została zgromiona niechętnym spojrzeniem, ale ostatecznie dopięła swego. Chwilę po wyjściu Mariusza vel Faraona, Stefan, w dalszym ciągu dziwacznie powykręcany, złożył pospiesznie kilka średnio wyraźnych podpisów. Zaraz potem dopełnili reszty formalności i przeszli do konkretów.

***

Na wpół pochłonięty mrokiem korytarz zdawał się ciągnąć w nieskończoność. Kleopatra stawiała długie kroki, rytmicznie kołysząc biodrami, Stefan zaś starał się za nią nadążyć, wciąż wpatrując się wyłącznie w podłogę.

– Żyrandole, co? – odezwała się niespodziewanie, nie mogąc dłużej ukryć rozbawienia. – Spodziewałam się czegoś znacznie gorszego, ale na twoje szczęście żyrandoli tu u nas dostatek.

– Też mi szczęście – odparł smętnie. – Żadna z moich czterech żon nie podzielałaby tego entuzjazmu.

– Bo pewnie musiały sypiać z żyrandolami na głowach, żeby cię zadowolić, co? – Prychnęła perlistym śmiechem, odwracając się ku niemu.

– Więc to na tym niby polegają te wasze nowatorskie metody? – Przystanęli oboje, a Stefan niepewnie podniósł wzrok. – Równie dobrze mógłbym sobie pójść do działu z żyrandolami w sklepie meblowym.

– Przyznaj, że kiedyś często to robiłeś. – Puściła oczko w parze z zalotnym uśmiechem. – Rozejrzyj się wreszcie, są tu ciekawsze rzeczy niż wykładzina.

Dopiero teraz dostrzegł, że wzdłuż korytarza ciągną się rzędy drzwi i… okien, przez które można było podpatrzeć przebieg toczących się w pokojach spotkań. Kilka przelotnych spojrzeń wystarczyło, żeby uwierzył, że tu naprawdę wszystko jest możliwe.

– Oni się na to zgodzili? – zapytał w pewnej chwili.

– Żeby ich podglądać? Raczej wszystko im jedno. – Wzruszyła lekko ramionami. – Czasem dostają za to zniżkę. – Znów uśmiech i mrugnięcie okiem. – Temu też już kończą się pieniądze. – Wskazała od niechcenia na jedną z szyb. Po drugiej stronie rozebrany do rosołu mężczyzna w średnim wieku z upodobaniem gładził młodą, puszystą kobietę po obfitych piersiach.

Zaraz, zaraz, po piersiach? Uważniejsze spojrzenie wystarczyło, by dostrzec, że w miejscu piersi miała dwa potężne wymiona, a u obu po cztery strzyki – jak u każdej przeciętnej krowy. Zdumiony Stefan wykonał automatyczny krok w tył.

– No, Milenka, nastąp się! – polecił tymczasem mężczyzna swojej towarzyszce, klepiąc ją w jeden z jędrnych pośladków. Dziewczyna ułożyła się na czworakach, ale Stefan nie miał już ochoty śledzić reszty przedstawienia.

Kleopatra uśmiechnęła się ze zrozumieniem i poprowadziła go na koniec korytarza, gdzie znalazła im dużo bardziej prywatne pomieszczenie. Z wielkim łóżkiem, miękkim, włochatym dywanem i ogromnym, bogato zdobionym żyrandolem w wiktoriańskim stylu.

– Możesz na niego patrzeć, jeśli tak wolisz – oznajmiła, widząc zmieszanie mężczyzny, gdy w jego spodniach znów dała o sobie znać mocno oczywista oznaka podniecenia. – I zdejmuj łachy, śpieszy mi się.

Chwila dezorientacji zaczęła przeradzać się w zdumienie, gdy dziewczyna szybkimi, wprawnymi ruchami pozbywała się kolejno wszystkich części własnej garderoby.

– Czy… – Stefan znów zaczął się jąkać. – Faraon nie będzie miał nic przeciwko?

– Nie wiedziałeś, że to ja odwalam najtrudniejszą robotę? – Rzuciła w kąt wpierw prawą, a potem lewą pończochę. – Lubię pomagać ludziom. – Do pończoch dołączył biustonosz. – A poza tym, każda dziewczyna powinna często ćwiczyć mięśnie Kegla, to ważne dla zdrowia.

Była zdumiewająca. Stefan nigdy nie widział równie pięknej kobiety i przez chwilę miał wrażenie, że rozumie, na czym naprawdę polega jej rola – przy kimś takim wszystko inne schodzi na dalszy plan.

– Pośpiesz się! – ponaglała z uśmiechem, choć widział w jej oczach lekkie zniecierpliwienie. – Obiecuję, że po jednej nocy ze mną raz na zawsze zapomnisz o wszystkim, co cię trapi. Dajemy na to dożywotnią gwarancję.

– Kleopatra i Faraon? – zapytał, próbując dodać sobie odwagi, niechętnie obnażając swoją nieciekawą fizjonomię przed tym posągiem doskonałości. – Skąd ten pomysł?

– Cóż, Mariusz lubi mrówki faraona, hoduje je w terrariach. – Przewróciła oczami. – Każdy ma jakiegoś bzika, co nie? A ja mam na imię Zośka. Trochę niemarketingowo. Zresztą, czego się spodziewać, skoro nazwaliśmy lokal Piramidą Rozkoszy?

Nie wiedział, czego się spodziewać, a już na pewno nie przypuszczał, że pójdzie tak łatwo.

– Tylko nie próbuj mnie całować – zastrzegła stanowczo. – Nie lubię obcej śliny w ustach.

– Każdy ma jakiegoś bzika, co? – powtórzył po niej i spróbował się uśmiechnąć. O dziwo, odwzajemniła ten uśmiech.

Skórę miała oliwkową i przyjemnie gładką. Włosy pachniały bzem, a może tylko tak mu się wydawało, kiedy delikatnie łaskotały mu twarz. Początkowo wpatrywał się w ten cholerny żyrandol, żeby nie stracić na męskości, ale gdy już połączyli się w jedno po prostu zamknął oczy. Pozwolił jej przejąć kontrolę, a ona wykorzystała ją do granic możliwości.

– Jestem twoją rosyjską ruletką – odezwała się niespodziewanie, na moment spowalniając ruchy. – Za chwilę ustrzelisz główną nagrodę.

Uśmiechnęła się, choć on widział to jak przez mgłę. Na krawędzi spełnienia wypowiedział jej imię, to prawdziwe, choć nie mógł wszak być pewien, że go nie okłamała. Niedługo potem polała się krew.

Stefan nie czuł bólu. Nie był nawet w szoku, gdy zrozumiał, co się stało. Mózg zalewały jeszcze ostatnie fale ekstazy, przez co nagła utrata męskości zdawała się tylko sennym majakiem.

– Zawsze najlepiej pracuje mi się na głodniaka. – Głos dziewczyny dolatywał jakby z drugiego końca pokoju. – Zaraz przyjdzie lekarz, a ja zajrzę do ciebie jutro.

Podeszła i lekko ucałowała go w czoło. A może tylko mu się wydawało? Zaraz potem wszystko zalała ciemność.

***

– I co o tym sądzisz? To nowy przepis.

– Fiut w ananasie? To gorsze niż pizza hawajska. – Mariusz nieco się skrzywił, ale przełknął pierwszy, a potem drugi kęs. Zośka tylko się roześmiała.

– Ciesz się, że nie pożarłam go sama, byłam kurewsko głodna. – Łapczywie pociągnęła kilka łyków czerwonego wina. – Całkiem sympatyczny gość z tego Stefana, miła niespodzianka, nastawiałam się już na tego obleśnego Mirka.

– Mirka zostawimy na później. Wziął jeszcze jeden kredyt na spłatę poprzednich dwóch, ale jakoś sobie radzi.

– A ty? – Uniosła zalotnie brwi, kończąc wykwintny posiłek.

– Co ja?

– Już się najadłam. – Wzruszyła ramionami. – Może masz ochotę zagrać w rosyjską ruletkę?

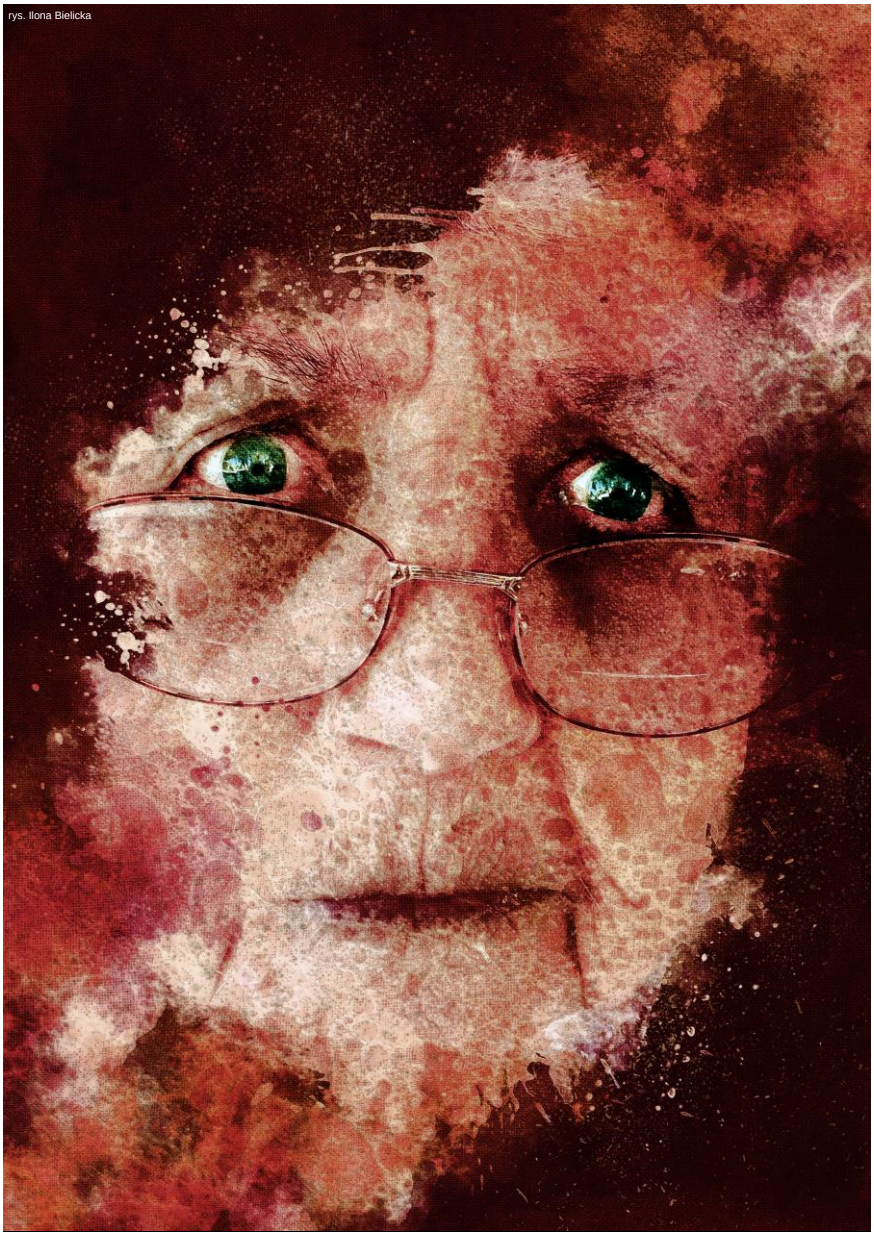

SZKLANE OCZY

Alina Kowalska

Zrozumieliśmy, że mój braciszek znieruchomieje jednego z identycznych dusznych przedpołudni. Zdawało mi się, że mama przewidywała to od dłuższego czasu. Po powrocie od lekarza zamknęła się w pokoju babci i nie wyszła z niego do zachodu słońca. Nie

odezwaliśmy się przez cały dzień. Siedziałam na kuchennym stole, machając nogami i przyglądając się braciszkowi. W ostatnich miesiącach nie robił nic innego, tylko leżał na kanapie z głową na podłokietniku i szklanymi oczami przylepionymi do telewizora, który szeptał do niego całe dnie i noce. Mama pchała go do lekarza i z powrotem wciśniętego w niemowlęcy wózek; jego nogi szorowały po chodniku, głowa chybotała się na boki. Wilgotne ciałko czyniło przygotowania do całkowitego znieruchomienia, żegnało się z nami stopniowo, powolutku.

Mama wyszła z pokoju babci ze spuchniętą twarzą i naelektryzowanymi włosami. Wyglądała jakby spała. Przytuliła wielką białą głowę mojego braciszka, a on wysilił się, aby sięgnąć wzrokiem jej oblicza. Ucałowała jego ramionka, brzuch i stópki, na moment zatopiła w nim twarz.

Nuciła pod nosem piosenkę z telewizora, kiedy gotowała nam obiad, a potem przez cały wieczór karmiła go zupą z łyżeczki od herbaty, zawsze dmuchając, i nie odrywając wzroku od płaskiej twarzy.

Wiedziałam, co należy zrobić, gdy zbliża się znieruchomienie. Ta wiedza trzymała mnie w pionie jak uścisk, i myślę, że mamę również. Mama przeżyła już wiele znieruchomień, pamiętała kroki instynktownie. Mój braciszek już nigdy nie urośnie większy, niż zdążył do tej pory. Nigdy nie wyrośnie z ubranek kupionych dzisiaj. Zastygnie zamknięty w tym samym maleńkim ciałku do końca świata.

Mama zabrała mnie i siostrę na zakupy. Braciszek będzie potrzebował zapasu solidnych strojów. Lepiej kupić je teraz, póki mama wciąż może wstać z łóżka, chodzić i pracować, teraz, zanim całkowicie się pokruszy i opadnie z sił. Przez duchotę środka lata dźwigałyśmy szeleszczące torby pełne dziecięcych ubranek, twarze miałyśmy lepkie i zakurzone. Z osiedla do centrum handlowego szło się czterdzieści pięć minut żwirową drogą.

Nie sądzę, aby mój braciszek w pełni rozumiał, do czego się przygotowuje. Był bardzo zmęczony, tylko zmęczony. Pojmował potrzebę gromadzenia ubranek i z uśmiechniętymi oczami pozwalał mamie podnosić swoje ciałko i otulać je kolorowymi tkaninami. Mama śpiewnym głosem pytała go, które mu się podobają, a pełne wysiłku gaworzenie było dla niej odpowiedzią. Wycierała ślinę z jego podbródka, składała ubranka w staranne piramidy.

Nie będzie więcej wychodził na dwór, już nigdy nie będzie mu zimno. Mama zapakowała do kartonów plastikowe kurteczki, czapeczki, szaliczki, kozaki i kalosze uszyte dla miniaturowego człowieka. Dostała za nie trochę pieniędzy i powiedziała, że dzięki nim będzie mogła zadbać, aby zrobiono mu wyjątkowo ładne oczy. Bardzo zależało jej na odpowiednich oczach. Znieruchomienie to duże koszty.

Mama potrzebowała pomocy mojej i siostry. Szkoła miała się zacząć dopiero za miesiąc, całe dnie spędzałyśmy w domu. Letnie porządki. Stosy kartonowych pudełek i plastikowych worków. Klęcząc na zakurzonej podłodze, wyławiałyśmy zabawki zza półek i spod łóżek, pakowałyśmy i wynosiłyśmy. Te książeczki ze sztywnymi stronami, które przeglądałam najpierw ja, potem siostra, a na koniec braciszek, zanim z nich nie wyrósł; klocki z dawno zgubionymi elementami, zwierzątka szorstkie od niespranych dziecięcych wymiocin. Takie zabawki odziedziczył po dwóch starszych siostrach, takimi zabawkami bawił się przez kilka krótkich lat, i takie, prawie nieruszone, wynosiłyśmy w workach przed dom. Zostawiłyśmy tylko to, co najistotniejsze. Mama chciała wyrzucić niemal wszystko, ale uległa, kiedy zaczęłyśmy płakać, błagając, by pozwoliła zachować jego ulubioną dziecięcą przytulankę. Niebieskiego słonia. Siostra tuliła go do piersi, mocząc ją łzami i smarkami, krzyczała, że będzie z nim spała każdej nocy. Niebieski słoń pozostanie miękki w jej uścisku na długo po tym, jak braciszek zesztywnieje.

Zachowałyśmy pogniecione zdjęcia, na których mama, znacznie młodsza i bardziej różowa, pochyla się nad braciszkiem, leży z nim w łóżku, sadza go w krzesełku i dziecięcym brodziku na podwórku cioci. Zachowałyśmy jego pierwsze rysunki, bazgroły obrzydliwymi woskowymi kredkami, o których mama szczebiotała, że to dzieła sztuki. Książeczkę zdrowia, papiery ze szpitala. Wszystko zmieściło się w jednym pudełku, które mama postawiła w pokoju babci. To tam zamieszka braciszek po znieruchomieniu. W pokoju dziecięcym zostały prostokąty jaśniejszej podłogi w miejscach po regałach i fruwający kurz. Przecierałyśmy powierzchnie wilgotnymi ściereczkami i rozstawiałyśmy własne zabawki, żeby zapełnić białe luki.

Pokój babci należał kiedyś do mnie. To było jeszcze zanim braciszek się urodził. Kiedy babcia znieruchomiała, mama musiała znaleźć dla niej miejsce w domu. Razem z babcią odziedziczyła też jej siostrę. Mama opróżniła dwupokojowe mieszkanie babci znajdujące się dwie ulice od naszego domu i wynajęła młodej, chudej rodzince z fioletowymi kołami wokół oczu. Babcię i babcię cioteczną umieściła w moim pokoju, mnie upchnęła z siostrą. Od tamtej pory nie znosiłam tego pomieszczenia. Pachniało w nim kurzem, mokrymi ubraniami, starym zaschniętym klejem i skórą. Okna nigdy nie odsłaniano, i zawsze było zimno, bo framuga wygięła się od wilgoci. Drzwi musiały pozostać zamknięte, inaczej przez wieczny przeciąg trzaskały, trzęsąc całym domem, a szyby brzęczały.

Nigdy nie wchodziłam do pokoju babci, o ile nie musiałam. Ale nie mogłam zostawić swojego braciszka. Jego mokre oczy pytały, czy będę go odwiedzać, a ja bardzo tego chciałam. Będę klęczeć przy nim i głaskać jego policzek, i gładzić jego włosy i ściskać jego

dłoń, nawet jeśli oznaczało to spędzenie długich godzin w ciemnym pokoju. Będę opowiadać mu o swoim dniu w szkole, nawet jeśli babcia także wszystko usłyszy. To prawda, że nigdy nie lubiłam babci, a jej siostry nawet nie poznałam, ale przemogę się. Nie mogłam zostawić go z nimi samego.

Naciskając klamkę, poczułam smak wymiotów w gardle. Przełknęłam. Drzwi zaskrzypiały i uderzył mnie leniwy podmuch zatęchłego zimna. Szczebiot mamy unosił się gdzieś wokół głowy braciszka leżącego na kanapie w salonie jak natrętna mucha. Próbowała nakłonić go do przełknięcia kolacji. Kiedy jej głos unosił się tak wysoko, przyprawiał mnie o ciarki. Pozwoliłam drzwiom go stłumić i otuliłam się ciemnością.

Powinnam nauczyć się znosić ten pokój, dla mojego braciszka. Powinnam ujarzmić tę odrazę, jaką mimowolnie budziła we mnie śmierć. Postąpiłam w głąb, mrugając, aż oczy przyzwyczaiły się do ciemności. Babcia siedziała w fotelu pod oknem. Fotel był wiklinowy, skrzypiący, brzydki i okryty pledem zszarzałym i zesztywniałym od upływu czasu. Odsłoniłam rąbek firany, żeby w świetle przyjrzeć się postaci tylko odrobinę większej ode mnie. Jej wygląd przypominał mi nieświeżą brzoskwinię, z tą swoją pomarszczoną skórką pokrytą białymi włoskami. Płaskie brzegi pozbawione warg, tej przerażającej, sztywnej, bezzębnej jamy, były obsmarowane fioletową szminką. Oglądałam czasem mamę w zamyśleniu nakładającą świeżą warstwę. Agresywne plamy fioletowego cienia pod łukowatymi brwiami. Włosy były bordowe, wyblakłe, i zaczynały się w okolicach czubka jej jajowatej głowy. Po białym czole spacerowała leciwa mucha.

Babcia była wciśnięta w wykrochmaloną suknię zapiętą pod samą brodę. Fałdy jej szyi spływały na kołnierzyk. Nawet paznokcie miała długie i wypolerowane, pokryte lakierem, który jak mi się zdaje, mama też regularnie poprawiała. Dłonie na kolanach. Kolana proste, plecy wygięte w łuk, głowa sterczęca ku sufitowi. Nogi chowały się w brązowych rajstopach i ginęły w kapciach, w nieznanym punkcie zlewały się z podłogą.

Najważniejsze były oczy, tak zawzięcie twierdziła mama. Uważała, że warto wydać nieco więcej, aby tylko zadbać o oczy najbardziej podobne do oryginałów. Pamiętam, jak po znieruchomieniu babci mama klęczała tygodniami nad stosami albumów, wydobywała najlepsze fotografie. Babcia nie wybaczyłaby jej, gdyby pozwoliła na spartaczenie całej roboty przez niepasujące oczy. Ślęczała nad katalogami i cennikami z lupą i wachlarzem zdjęć przy kuchennym stole, dopóki nie wybrała modelu, który odpowiadał doskonale. Usatysfakcjonowana postukiwała długopisem w zakreśloną stronę katalogu, powtarzając, że mamy to wreszcie z głowy na wiele dekad, bo, jakie szczęście, wszyscy odziedziczyliśmy po babci te same oczy.

Dla mnie zamówi się ten sam model, mówiła w kółko, zakreślając kolejne pętle wokół wybranego modelu w katalogu. *Dla ciebie też*, stwierdziła, przyciągnąwszy mnie do siebie i zajrzawszy mi głęboko w oczy. *Wszystkie jesteśmy tak cudownie podobne*, uśmiechała się, gładząc mój policzek. *Spójrz tylko*, rozkładała wachlarz fotografii babci, czarnobiałych i rozmytych jak akwarelowe obrazki. Babcia miała ten sam garbaty nos co mama, te same wklęsłe policzki, te same głębokie linie w tym samym niskim czole. *Twoja siostra wzięła oczy od ojca*, mama w zamyśleniu kręciła głową, nie odwracając wzroku od fotografii; *jej są raczej zielone, prawda? I bardziej okrągłe. Ale twój brat to już cała babcia*, śmiała się, przecierała czoło palcami. Jeśli przytakiwałam z bladym uśmiechem, wypuszczała mnie z uścisku. Biegłam bawić się do swojego pokoju.

Najlepsze fotografie babci jakie mamie udało się znaleźć stały oprawione na stoliku przy fotelu. Zupełnie jakby przy każdej wizycie mama chciała móc zajrzeć najpierw w trójwymiarową, a potem w papierową twarz i porównać wykonanie, upewnić się, że rzeczywiście wybrała te oczy, co trzeba. Babcia kojarzyła mi się z jakimś smętnym muzealnym eksponatem.

Jej oczy lśniły. Były jedyną częścią ciała, na którą nie opadła ani jedna drobinka kurzu. Mama przecierała je sumiennie ściereczką nasączoną płynem do szkła. Oczy były maleńkie, schowane głęboko w masie skóry, dwa zamglone guziczki. Tęczówki były niby niebieskie, niby szare, prawie srebrne. Właściwie całe zdawały się niemal mlecznie białe. Źrenice zwężone, niby dwie krople atramentu uwięzione w środku szklanych kulek.

Mama rzeczywiście dobrze wybrała. Na zdjęciu babcia wyglądała niemal identycznie. Jej oczy zawsze były maleńkie, nawet jeszcze w czasach, kiedy pozostawało nieco tłuszczu w policzkach, kilka zębów między wargami i odrobina życia w źrenicach. Mama miała takie same mroźne szare oczy, ja miałam takie same, i mój braciszek miał takie same. Chociaż w ostatnich tygodniach, gdy zabrała się za przyglądanie jego twarzy bardziej intensywnie, zaczęła utrzymywać, że jego tęczówki mają jakąś unikalną rudą czy piwną obwódkę, którą koniecznie należy uwzględnić w zamówieniu. Żółta samoprzylepna karteczka z zapisaną nazwą modelu zamówionego dla babci leżała na stoliku na szczycie stosu dokumentów.

Ciotecznej babci nikt nigdy nie zaaranżował jak muzealnego eksponatu. Trafiła do naszego domu na dnie kartonowego pudła, przykryta zjedzonymi przez mole swetrami, obrusami, spleśniałą pościelą, zestawem porcelany zawiniętym w serwetki, luźno rzuconymi papierami należącymi jeszcze do dziadka, przypadkowo zawieruszonymi sprzętami domowymi. Mama wydobyła ją ze smutkiem, gestem niewiele innym niż gdy odpakowywała połamany odkurzacz babci. Na koniec przeprowadzki, po namyśle, umieściła cioteczną babcię

razem z odświętną zastawą w największej szafie w meblościance. Nigdy nie widziałam, aby ją stamtąd dobrowolnie wyciągała.

Babcia cioteczna oglądała światło słoneczne jedynie raz do roku, podczas Zaduszkowych porządków, gdy mama rutynowo przemywała jej skórę, zmieniała sukienkę i poprawiała makijaż. Tego jednego dnia w roku mama dźwigała babcię i babcię cioteczną do salonu, aby usadowić je na specjalnych fotelach przy stole do obiadu. Wszyscy po kolei musieliśmy się z nimi przywitać, skinąć głowami i zabawiać je rozmową przez cały posiłek. Mama piekła ciasta, kupowała mnóstwo owoców, stawiała na stole dzbanki z mlekiem i miodem. Gdy nadchodził czas na toast, nalewała nam gorącego kompotu, a trzy szklaneczki napełniała czymś paskudnie pachnącym, po czym jedną wypijała, a dwie przyciskała do nieruchomych warg babci i babci ciotecznej.

Gdy zachodziło słońce, mama prosiła nas o pomoc w zapaleniu wszystkich świeczek. Biegaliśmy przy ścianach wokół pokoju, aż otaczał nas krąg ognia. O północy mama zanosiła babcię i babcię cioteczną do ich pokoju, a nas wyciągała na jesienny chłód. Szeptała jakieś formułki, stawiając talerze nietkniętego jedzenia na ziemi, a potem wylewając na trawę zawartość szklanek. Biegliśmy do domu do łóżek i przez następny rok nie musieliśmy się obawiać widoku babci ciotecznej.

Babcia cioteczna była powodem, dla którego mama, a przed nią jej mama, do znudzenia powtarzały jak ważne są oczy. Babcia przez lata napastowała starego taksydermistę, wówczas jedynego w mieście, o to, jak straszliwie spartaczył oczy jej siostrzyczki. Tamten zawsze utrzymywał, że wykorzystał model, który u niego zamówiono. Babcia wykrzykiwała, że to niedorzeczne, żeby oczy, które wetknął w głowę jej siostrze wyglądały jak zrobione dla jakiegoś psa czy lisa. Do ostatnich dni miała żal, a kiedy w mieście otworzył się nowy warsztat, błagała mamę, by za nic nie pozwoliła staremu taksydermiście choćby się do niej zbliżyć.

Ja sama zawsze po cichu uważałam, że babcia cioteczna była paskudnie brzydka bez względu na oczy. Nie zachowały się jednak żadne zdjęcia, dzięki którym mogłabym to przekonanie zweryfikować.

Przechodziły mnie ciarki na myśl, że to samo co ją mogłoby spotkać mojego braciszka. Nieważne, że warsztat starego taksydermisty dawno został zamknięty, a mama tłumaczyła, że nowy zakład wykorzystuje nowoczesne technologie. Pocieszała mnie obietnicami, że brat będzie wyglądał całkiem jak żywy, że nie dostrzeżemy różnicy. Ja uparcie myślałam jednak o babci ciotecznej. Co jeśli mój braciszek wróci do mnie, jak ona do swojej siostrzyczki, zeszpecony? Czy mama zarzuci mu kocyk na głowę i posadzi go w

kącie? Czy położy go w szafie na babci ciotecznej i przykryje obrusami? Czy wydłubie mu oczy z głowy, jak babcia groziła kiedyś zrobić swojej siostrze?

Najgorsza była jednak myśl, że mogłabym zacząć bać się widoku braciszka. Że mogłabym czuć odrazę na jego widok. Że mogłabym stracić go ostatecznie. Tego bym nie zniosła.

Uklękłam na zakurzonej podłodze u stóp babci i otworzyłam dolną szafę w meblościance. Przedarłszy się przez szeleszczące i brzęczące śmieci, moje palce dotarły do twarzy babci ciotecznej. Wydobyłam ją ku światłu okna i odważyłam się przypatrzeć jej szpetnej postaci.

Była leciutka, znacznie mniejsza niż mój braciszek. Ułożyłam jej główkę w zgięciu swojego łokcia, aby ciałko opierało się na moim przedramieniu, jak zdawało mi się, że zazwyczaj matki trzymają niemowlęta. Idealnie mieściła się w moich rękach. Bałam się ścisnąć jej ciałko choć trochę za mocno, wyobrażając sobie, że może rozsypać się pod moim dotykiem. Trzymałam w ramionach prastary artefakt. Babcia cioteczna była ubrana w wykrochmaloną białą sukieneczkę, taką z początku ubiegłego wieku, z której wystawały tylko okrągłe różowe stópki. Dłonie, nie większe niż u lalki, były złożone na piersi. Związane niebieską wstążeczką by trzymały się na miejscu. Babcia cioteczna pachniała jak cały pokój, zatęchłą bawełną, naftaliną, skórą i zimnem.

Najgorsza była jej głowa. Okrągła, pęczniejąca, pokryta garstką białych włosków na czubku. Cieniutkie łukowate brwi były narysowane czarną kredką. Nos miała taki sam jak babcia, ale bardziej garbaty i zdecydowanie skrzywiony w lewo, jakby został złamany. Wargi zdawały się krzywić w grymasie, było w nich coś zwierzęcego, na zawsze rozdziawione i pofarbowane na czerwono. Pulchne policzki pokryte różem. No i te oczy. Upiorne białka, rozszerzone źrenice, prawie całkiem czarne tęczówki. Zdawały się wybałuszone w jakimś pierwotnym przerażeniu, jakby zaraz miały wypaść z oczodołów. Twarz ciotecznej babci przynosiła na myśl pysk jednego z tych zwierząt, które można oglądać w muzeach albo spoglądającego ze ściany domu myśliwego. Nigdy nie stałaby się urodziwą kobietą.

Czekaliśmy tydzień, zanim mój braciszek wreszcie znieruchomiał. Był to zaskakująco rześki poranek. Klęczałyśmy przy kanapie, tuląc się do niego i głaszcząc, aż jego piżamka przemokła od naszych łez. Czułyśmy, jak jego skóra staje się coraz chłodniejsza. Gdy zupełnie ostygł, mama otarła twarz, kazała nam wstać i się pożegnać. Wzięła wiotkie ciałko w ramiona jak niemowlę i usadziła je w wózku. Uklękła po raz ostatni i przycisnęła gorące usta do jego czoła. Do torebki zgarnęła ze stołu katalog, cenniki i gotówkę. Poprosiła byśmy były grzeczne. Potem zawiozła mojego braciszka do taksydermisty. Na zawołane przez moją

siostrę pytanie, odwróciła się w drzwiach ostatni raz. *Będzie stał, tak jak sam zdecydował. Bardzo nie chciał znowu leżeć, w ostatnich miesiącach nie robił nic innego tylko leżał. Będzie stał, uśmiechał się i unosił rękę. Będzie wyglądał przeuroczo. Zrobimy dla niego miejsce przy kominku. Wstawimy mu tam telewizor.*

Z zakładu przywieziono go po tygodniu, fachowiec wniósł go i postawił we wskazanym przez mamę miejscu przy kominku. Miał takie same oczy jak babcia. Któregoś lata, kilka lat później, mama wygrzebała skądś farbki do szkła i chirurgicznymi ruchami dorysowała mu czubkiem wykałaczki cieniutką złotą obwódkę na zewnętrzu tęczówek. Była z siebie bardzo zadowolona. Kiedy udało się przekonać mamę do zrobienia remontu, zdarłyśmy ze ścian pokoju babci ciemne panele i wstawiłyśmy kanapę przy kominku naprzeciw telewizora. Od tamtej pory tylko w tym miejscu oglądałyśmy telewizję, tuląc się pod kocykiem i ściskając wyciągniętą dłoń braciszka. Kiedy moja siostra wyprowadziła się na studia i zostałam sama, przeniosłam się na tę kanapę. Zasypiałam, głaszcząc rączkę swojego braciszka, oglądając z nim telewizję i szepcząc do niego w ciemności.